

**O egzaminach  
na studia — str. 1,8-9**

**Psycholog radzi — str. 11  
narzeczonym i małżonkom**

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Rok założenia 1933

PL ISSN 0137-7106 Nr indeksu 36251

# Kamena

NR 16 (836)

11 sierpnia 1985

CENA 10 ZŁ



O filmie „Zagadka nieśmiertelności” piszemy na str. 11.

## Dlaczego gram „tak polsko”...

**Rozmowa z wybitnym skrzypkiem  
lublinianinem  
Edwardem Zbigniewem Zienkowskim**

— W dniu inauguracji świątowych obchodów 150 rocznicy urodzin Henryka Wieniawskiego, 10 lipca wystąpił pan wraz z Konstantym Andrzejem Kulka i Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Lubelskiej pod batutą Adama Natanka na uroczystym koncercie, który odbył się w gmachu Warszawskiej Filharmonii. Konstanty Kulka grał Legendę oraz II Koncert Skrzypcowy d-moll op. 22, a pan — słynnego Kulawiaka i Koncert Skrzypcowy fis-moll op. 14 tego znakomitego, urodzonego w Lublinie skrzypka i kompozytora. Poprzedniego wieczoru występowaliśmy w takim samym repertuarze w Lublinie. Po koncercie tutejsi melomani złożyli panu wyjątkowo długą i gorącą owoacje...

— Witali mnie nie tylko jako artystę, ale i jako starego znajomego czy też dawnego lubelskiego koleżankę szkolnego...

— Właśnie. Ostatnio mieszka pan na stałe w Belgii, gra pan w znakomitych orkiestrach symfonicznych w Kolonii i w Berlinie Zachodnim u Herberta von Karajana. Jako muzyk światowej sławy koncertuje pan od Europy aż po Japonię, ale... jeszcze nie tak dawno temu stałem miejscem pańskiego zamieszkania był Lublin.

— Tak. Urodziłem się w Lublinie trzydzieści cztery lata temu. Tutaj, gdy miałem niespełna pięć lat, ojciec dał mi do ręki skrzypce i tutaj, do 1969 r., uczęszczałem do szkół muzycznych, kształcąc się w liceum w klasie prof. Oskara Rupola. Potem były studia w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Gdańsku w klasie prof. Stefana Hermana i wreszcie — w klasie solistycznej prof. André Gertlera w Hannowerze. No, ale do osiemnastego roku życia mieszkałem w Lublinie „na stałe”.

Moi rodzice pochodzą z Cycowa. Tam mieszkała moja babcia i tam, aż do matury, spędzałem wakacje. Pomagałem w różnych pracach gospodarskich i oczywiście także — przy żniwach. Znam więc dobrze i wieś i miasto, obracałem się przez wiele lat i w środowisku inteligentnym i wiejskim i robotniczym. Jestem przekonany, że dzi-

Ciąg dalszy na str. 8

## Trudna droga do sądu

Hubert Jesipowicz

**W**TOREK, dziewiąty dzień lipca. Aura jesienna: deszcz chłodno. W lubelskim Miasteczku Akademickim temperatura jednak wyjątkowo wysoka; pierwszy dzień egzaminów wstępnych na studia. Przed gmachem Wydziału Prawa i Administracji, gdzie dla przyszłych prawników odbędzie się dzisiaj pisemny egzamin z historii, tłoczy się tłum

elegancko ubranych młodych ludzi. Wbrew niektórym opiniom, zawód prawnika nie deprecjonuje się; być może właśnie w naszym czasie świadomość prawna, znajomość wszelkich prawnych nakazów i zakazów oraz dróg postępowania jest szczególnie cenna.

Przystępujących do egzaminu tuż po wejściu do budynku oczekuje dokładne

sprawdzenie tożsamości. Kandydaci na studentów otrzymują karty z oznaczeniem sali, w której odbędzie się egzamin; karta ta służyć później będzie do kodowania pracy. Poza tym odbierają również pierwszy czysty arkusz papieru kancelaryjnego, który za kilkanaście minut przyjdzie im wypełnić wiadomościami na temat. Otóż właśnie, na jaki temat? W tej chwili jest

to najważniejsze pytanie stawiane sobie w duchu i głębie wśród nowo poznanych kolegów.

Stoję z boku i przyglądam się przyszłym studentom. Są trochę rdenerowani, ale w nowych warunkach asymilują się doskonale. Odnoszę wrażenie

Ciąg dalszy na str. 8—9



27 VII. Wrócił znajomy z rumuńskich czasów i mocno kręcił nosem. Nie ma się gdzie pobawić! Już przed dziesiątą wieczorem, a dziesiąta to jeszcze nie egipskie ciemności, restauracje zamyka się na cztery spusty, a to, co się dzieje z benzyną (on był pociągami, ale miał oczy szeroko otwarte!), przechodzi ludzkie pojęcie. W czasach najgorszych trudności benzynowych w Polsce nie widział takich kilometrów ogonków. Ludzie na zatankowanie czekają i 50 (!) godzin.

A dobrze mu tak! Ja tam wolę urlop w zadeszczonej Polsce niż pod słońcem Mangalii, zwłaszcza że w lipcu i w Mangalii tego słońca w ciągu trzech tygodni ponoć nie było.

I jeszcze jedno: ów znajomy po powrocie tak dorwał się do telewizora że go nie można od niego nawet linami odciągnąć. Zamierza napisać list pochwalny do prezesa Wojciechowskiego!

Sami nie wiemy, co posiadamy. Podróże kształcą.

28 VII. Muszę się pokajać. Niedawno pisałem w notatniku o Rykach i poplątały mi się nazwiska. Naczelnikiem jest p. Mieczysław Szczepaniak. Zmiany na tym stanowisku dokonałem bezprawnie za co przepraszam zainteresowanych. Błędy lubią chodzić parami: w gminie Ryki jest 800 wolnych miejsc pracy, jedno zero wyskoczyło mi w trakcie pisania tekstu na maszynie i zapomniałem je skreślić. Zero niby rzecz niewielka, ale tylko wtedy, gdy obok znajdzie się drugie. Bez żadnej liczby!

Dopisuje 1 sierpnia: Przyznając się do błędu, zachęcam do sprostowania i „Perspektywy”. Cytując fragment mego notatnika, napisał A. A. Jaworski, dodając „szef lubelski „Kamena””. Po pierwsze — nie pisałem jako szef, ale jako M. A. Jaworski. A po drugie — czy jest również „Kamena” warszawska, łódzka lub krakowska? Czy są warszawskie „Perspektywy”? Ale cieszę się, że w (polskich) „Perspektywach” ktoś „Kamena” przegłąda.

31 VII. Znowu zmiany w taryfie celnej. Czytam w prasie, że za samochód tyle, za kożuszek tyle, za coś tam jeszcze tyle i przyznają że osobiście obchodzi mnie to tyle, co zeszlodzony śnieg. Ileś tam razy byłem za granicą (wschodnią, południową czy zachodnią) i ani złotówki cła nie zapłaciłem, bo nie było i za co. Kiedy więc słyszę, że „znowu nas dupnęli” oznajmiam, że w tym „nas” mnie nie ma i nie będzie. Dręczy mnie jednak wątpliwość, czy podniesienie opłat celnych za kożuchy uderzy po kieszeni handlujących turystów? Ostatecznie na polskie kożuchy więcej jest amatorów niż towaru. A więc? A więc, tak sobie myślę, prywatni handlowcy odbijają sobie cło żądając za kożuchy po prostu więcej złotych. Jeśli rzeczywiście chcielibyśmy przykrócić proceder, należałoby zastosować środki jeszcze bardziej drakońskie. Albo zwiększyć hodowlę baranów. Tych na czterech nogach!

1 VIII. Helsinki, 10-lecie Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Z tej okazji — zjazd ministrów spraw zagranicznych. Wczoraj nowy minister spraw zagranicznych ZSRR, Eduard Szewardnadze, spotkał się z sekretarzem stanu USA, Georgem Shultzem. Mówi się o dobrym klimacie rozmów obu ministrów, którzy po raz pierwszy mieli okazję spotkać się ze sobą. Dziennikarze odnotowali ciekawostkę: w pewnej chwili Shultz ujął radzieckiego ministra za ramię i powiedział: „Pozwól mi pan, że mu przedstawię moją osobistą agencję bezpieczeństwa”. Szewardnadze, witając się z młodą, przystojną dziewczyną o sportowej sylwetce, odparł: „Widzę, że bezpieczeństwo Stanów Zjednoczonych spoczywa w dobrych, a nawet delikatnych rękach”.

Shultz po rozmowach oświadczył dziennikarzom, że „byliśmy w stanie dokonać w ciągu trzech godzin tyle, na co w innym wypadku potrzebowalibyśmy sześciu godzin”. Shultz kontynuował: „Na zakończenie naszego spotkania zadaliśmy sobie pytanie, jakie słowa wybrać dla scharakteryzowania tego spotkania. Oto te, które uzgodniliśmy: interesujące, pożyteczne, szczere, rzeczowe i owocne”.

Kto zna język dyplomacji, suche słowa lakonicznych komunikatów, może skonstatować że to bardzo wiele.

Faktem jest, że przygotowania do listopadowego zjazdu radziecko-amerykańskiego weszły w nową fazę. Rozmowy na szczeblu ministrów spraw zagranicznych będą zapewne kontynuowane we wrześniu w Nowym Jorku. Okazją stanie się kolejna sesja ONZ.

Wiadomo już, że na tę sesję uda się premier naszego rządu, generał armii Wojciech Jaruzelski. Wizytę tę będą śledził z wielką uwagą Rola Polski na arenie międzynarodowej wzrasta wówczas, kiedy jej stosunki z ZSRR są szczególnie pomyślne. Znajomość realiów współczesnego świata, niestety, ciągle jeszcze nie dociera do zakutych łbów. Polskich również!

3 VIII. W Moskwie zakończenie XII Światowego Festiwalu Młodzieży i Studentów. Wieczorem —

retransmisja w telewizji. To, co pokazano na Stadionie im. Lenina, trudno opisać! Szczególnie zachwycała ta żywa trybuna, tworząca za pomocą przesuwanych kolorowych kartonów coraz to nowe obrazy. Organizatorzy doszli w tym względzie do mistrzowskiej precyzji!

Pod tą samą datą muszę odnotować inne, znacznie drobniejsze wydarzenie. Z własnego podwórka, a może dosłownie — boiska. Motor zmierzył się z Górnikiem Zabrze. W „Kurierze Lubelskim” (asz) prorokował: *Nasz typ — remis ze wskazaniem na mistrza*. Dziwne to prognozowanie, przypominające gawędy gady o pogodzie (będzie padać, jeśli nie będzie słońeczka — daruję sobie góralską gwara, bo jej nie znam). Konia z rżędem temu, kto mi wyjaśni, na czym polega remis ze wskazaniem na mistrza. Nie lepiej napisać: *nasz typ — zwycięstwo gości!*

Górnik jeszcze raz pokazał klasę i grzotnął Motorowi aż cztery bramki, sam nie tracąc ani jednej. Po dwóch meczach ma więc już nie tylko cztery punkty, ale i piękny stosunek bramek: dziesięć do zera. Mamy chyba wreszcie znowu drużynę, która nawiąże do tradycji dawnego Górnika. A po porażce Zagłębia z Górnikiem (0:6) zawodnicy Motoru nie mają powodu do przywdziewania włościanicy!

4 VIII. Rano w kilkunastu zwartych grupach wyruszyły z Lublina do Częstochowy pielgrzymki poszczególnych parafii. Stałem na chodniku z Jerzym S., który uważa się za wierzącego, ale nie praktykującego. W pewnym momencie powiedział do mnie: „Wiesz, to mi bardziej przypomina piknik niż pielgrzymkę”. Obyczaje się zmieniają chociaż jego uczucia mogły z jednej strony razić wielkie krzyże na piersiach, a z drugiej puszkę po piwie spełniającą rolę... grzechotek. Były transparenty antyalkoholowe, co mi się nawet podobało, bo z wody nie dobrego się nie rodzi, był też i biało-czerwony transparent, na którym wypisano hasło: „Maryja przewodnią siłą narodu”. Jerzy S. pokłonił głową i szepnął mi do ucha: „Przywłaszczyli sobie twoje hasło...”, „Troszeczkę je zmienili...” — odparłem. „Ale widocznie jest ono nośne” — on mi na to.

Wśród pielgrzymów dostrzegłem w sumie kilkanaście wózków, na których taszczone pociechy; na jednym siedziało nawet dwoje dzieci. Nie sądzę, aby te wózki miały dotrzeć aż do Częstochowy. 300 kilometrów do zbyt dużego na te małe kółka, chociaż cuda ponoć się zdarzają...

W tym roku mało było pozdrowień wyrażanych „zajęczkami”, ale znalazła się jedna parafia, która szczególnie sobie owe „zajęczki” upodobała.

W domu przeczytałem wywiad, jaki tygodnik „Der Spiegel” przeprowadził z kardynałem Paulem Paupardem który od pięciu lat jest przełożonym watykańskiego Sekretariatu do spraw Niewierzających. Pierwsze pytanie brzmiało:

— Eminencjo, rośnie nie wiara, ale niewiara. Od ponad dwóch dziesięcioleci Kościół katolicki uskarża się na rosnącą w świecie ateizm. Papież Paweł VI określił go jako największy dramat współczesności. Jak dzisiaj zła jest dla was sytuacja?

A oto odpowiedź kardynała:

— Rzeczywiście liczby nie są pocieszające: niemal miliard ludzi nie wyznaje dzisiaj żadnej religii, żadnej wiary. Ponad cztery procent ludności świata, to jest 197 milionów ludzi, świadomie uważa się za ateistów. W 30 państwach świata ateizm jest oficjalną doktryną państwową, czyli 34 procent populacji naszego globu żyje w ateistycznym porządku społecznym, a na początku wieku było ich tylko 0,2 proc. W Europie i Ameryce ateizm wzrasta co roku według naszych szacunków o 8,5 miliona osób...

Dodać od siebie: mamy w Polsce wielu takich, co są bardzo zapatrzeni na Zachód. Ale w gruncie rzeczy problemów tego Zachodu wcale nie znają!

Pojutrze mija czterdziesta rocznica zrzucenia amerykańskiej bomby atomowej na Hiroszimę, a 9 sierpnia — na Nagasaki. Według źródeł japońskich wskutek obu tych eksplozji poniosło śmierć 300 tysięcy ludzi, źródła amerykańskie obliczają liczbę ofiar na 120 tysięcy. Faktem jest, że te bomby zabijają jeszcze dzisiaj, bo od napromieniowania nie zawsze ginie się natychmiast...

Dziś już wiadomo, że bomby te były wymierzone militarnie przeciwko Japonii, a politycznie przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Dziś wiadomo również, że dzień 6 sierpnia 1945 roku zainaugurował nową epokę w dziejach ludzkości — epokę wojen nuklearnych. Nawet gdyby już nigdy taka nuklearna wojna nie wybuchła, to świat i tak cały czas żyje pod grozą kataklizmu, którego wyobrazić sobie wprost nie sposób.

My, zwykli zjadacze chleba, staramy się oddalać od siebie myśl, że naciśnięcie guzika może przemienić nas w popiół. Oczywiście guziki są w posia-



Repr. Robert Lipski

## Stanisław Ryszard Dobrowolski NIEZWYCIĘŻONA

*I znów wśród murów twych, Stolic —  
ogień we włosach i błysk w oku:  
skrzydłami wiejąc nad ulicą,  
grzmi jasno rytm zwycięskich kroków.  
I znów rozległy oddech w płuca,  
i ściga znów wystrzał wystrzał —  
sto ramion sztandar wzwyż wyrzuci  
i światła tęczowe bardziej błyszczą.  
Więc „nie zginęła” i „niech żyje”!  
Salwami trzaska słowo Polska.  
Po broń sięgają ręce czyjeś  
i rosą z ziemi, rosą wojska.  
Żołnierski sen urasta w jawę:  
Powstańcie! Rozkaz! — rzecz skończona.  
Przez ogień idzie w złotą sławę  
Niezwyciężona! Niezmożona!*

daniu nie jednego mocarstwa, ale dla mnie nie jest specjalną pociechą, że jeśli zginę ja, to jednocześnie, czy prawie jednocześnie, pożegna się z życiem jakiś John czy Hans.

Są tacy, którzy twierdzą, że gdyby nie broń atomowa, już byłibyśmy po trzeciej wojnie światowej, bo tyle lokalnych konfliktów mogłoby się przekształcić w wielką zawieruchę, a nie przekształciło się tylko dlatego, że istnieją rakiety nuklearne... Może, ale przecież mimo istnienia tej strasznej broni w różnych lokalnych wojnach od 1945 roku zginęło na świecie więcej (!) ludzi niż żołnierzy (wszystkich narodów) w drugiej wojnie światowej...

A w perspektywie nowe generacje broni atomowej! Zwarować można! Gdybym był stu procentowym egoistą, cieszyłbym się, że z każdym dniem bliżej mi niż dalej. Dokąd? A zgadnijcie! I sami się bawcie!

5 VIII. Wysłuchałem wczoraj w telewizji fragmentów znakomitego przemówienia Wojciecha Jaruzelskiego na XXI Plenum KC PZPR poświęconym zadaniom partii w kampanii wyborczej do Sejmu PRL, niestety, dzisiejsza prasa tekstu tego jeszcze nie zamieszcza. Szkoda bo chciałem coś z niego zacytować. Prasa publikuje natomiast spośród materiałów poświęconych plenum m.in. uchwałę, stanowiącą podsumowanie obrad. Z uchwały wybieram ten fragment: „Komitet Centralny PZPR zobowiązuje komitety wojewódzkie oraz członków partii działających w wojewódzkich konwentach wyborczych do podejmowania wysiłków i przejawów troski o to, aby na okręgowych listach wyborczych znaleźli się kandydaci o nieposzlakowanej postawie moralno-politycznej, wyróżniający się wzorową pracą, wrażliwi na problemy społeczne i indywidualne sprawy ludzi, dający rękojemnie należytego wypełniania mandatu posła dla dobra wyborców i całego społeczeństwa, zgodnie z konstytucyjnymi zasadami ustrojowymi PRL.”

M. A. Jaworski



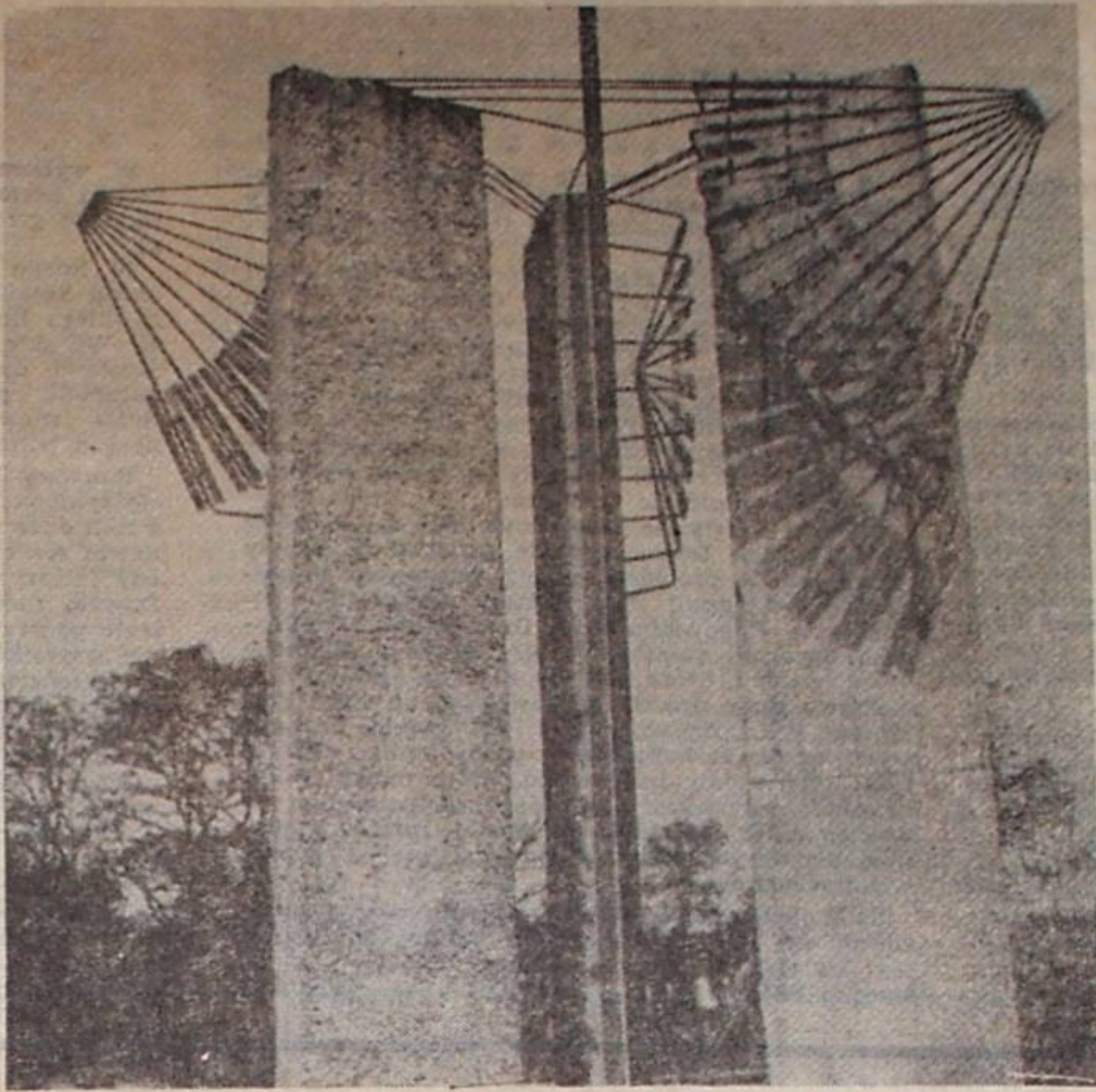
# Ku pamięci...

Ireneusz J. Kamiński

**N**A skraju tej wsi, w odległości może 4 km od Zakładów Azotowych w Puławach, stoi przestrzenna konstrukcja: trzy wysokie prostokątne płyty z betonu otaczają stalową rurę, do której podwiązano je metalowymi taśmami. W górnych partiach owych płyt widnieje coś w rodzaju ażurowych wachlarzy, których cienie w zależności od położenia słońca na niebie, pełzną po powierzchni betonu — jak w zegarze słonecznym. Całość przypomina tzw. formy przestrzenne z lat sześćdziesiątych, kiedy to sztuka polska padła w ramiona wielkich zakładów przemysłowych zyskując dzięki temu całkiem żywe pole samorealizacji w postaci plenerów, organizowanych w poważnym stopniu na koszt zamożnego partnera. Swatką tego mariażu była polityka kulturalna, postrzegająca w owym związku wielkie szanse wprowadzenia współczesnej twórczości artystycznej w środowiska robotnicze.

Ale przed tą naszą wiejską „formą przestrzenną” znajduje się jeszcze jeden element, który przenosi konstrukcję w rzeczywistość odmiennych znaczeń. Jest to okazały głaz z metalową tabliczką, na której napisano: „Zamordowanym w 1943 r. Rodakom mieszkańcy Bałtowa 22 lipca 1973”. Obok kamienia polyskują cztery słoiki po kompotach z których wychylają się wiązanki kwiatów. Informacji dopełnia druga tabliczka: „Pomnik ku czci ofiar pacyfikacji 13.VII.1943 Opiekun: Szkoła Podstawowa w Bałtowie”.

Tymczasem, sięgając pamięcią do 1966 roku, widzę owe „Trzy płyty” w zupełnie innej roli: autonomicznego dzieła sztuki, które powstało na I Sympozjum Artystów Plastyków i Naukowców w puławskich Zakładach Azotowych i tamże na wieczną rzeczny pamiątkę zostało mocno, na betonowej lawie usytuowane w pejzażu — chwając nazwisko swego twórcy, wybitnego artysty warszawskiego, i potwierdzając, że idea mecenatu przemysłu nad sztuką doczekała się oto spełnienia. Przypomnę że w Sympozjum uczestniczyło kilkudziesięciu czolowych twórców polskich oraz jeden Japończyk (z żoną), a ponadto przedstawiciele różnych dyscyplin nauki. Okazałe formy przestrzenne wykonane przez pojedynczych autorów (Bronisława Kierzkowskiego, Gerarda Kwiatkowskiego, Jo Ody czy bardzo wówczas młodego lublinianina, Mieczysława Hermana) ulokowano na placach i skwerach przed „Azotami” —



Pomnik w Bałtowie.

(Zdjęcie autora)

z myślą, że pozostaną tam na zawsze, by pobudzać wrażliwość estetyczną zalogi. Ideologom imprezy wydawało się, że zakład będący symbolem nowoczesności technologicznej w Polsce niejako automatycznie kreuje nowoczesną świadomość człowieka, czyniąc ją podatną na uroki sztuki niekonwencjonalnej, która w Puławach wystąpiła w kostiumie abstrakcyjnym, choć nie tylko w takim.

Jakim więc cudem obiekt z Sympozjum trafił do wsi Bałtów, gdzie odbierając mu znamiona sztuki „czystej”, wprężnięto do konkretnej służby: patriotycznej, a zatem nie przewidzianej przez autora choćby w snach o połędzie?

Pytałem o to nauczycielkę, która na bosaka w spódnicy ze złotem na palcach prowadziła lekcje futbolu na placu przed szkołą, z udziałem dzieciarni płci obojga...

Pytałem listonosza o czteroletnim stażu w zawodzie a więc człowieka, który powinien wszystko wiedzieć, co we wsi...

nikiem martyrologiem, odwołanym w obecności generała, kompanii honorowej i orkiestry wojskowej.

Przed budynkiem administracyjnym „Azotów” uchowały się już tylko dwie rzeźby Japończyka Jo Ody oraz Gerarda Kwiatkowskiego. Są zapomniane, pozostawione własnemu losowi. Z pierwszej odpada farba, nigdy intensywnie niebieska druga — w kształcie ażurowego szelcianu z płytek metalowych na postumencie — rdzewieje i jest już niemal zupełnie zasłonięta przez pobliskie krzewy. Przyjdzie czas, kiedy obie zamieniają się w kupę złomu, ale przypuszczać można, że i teraz traktowane są przez przechodniów jako kupa żelastwa. Najprawdopodobniej jednak nikt ich po prostu nie dostrzeże. Takie formy tłumaczą się tylko w porządku sztuki, która nadaje im różnorakie sensy, z reguły obce treściom codziennej egzystencji oraz społecznemu czy historycznemu doświadczeniu przeważającej większości ludzi. Na warszawskiej wystawie „Język geometrii” (1984) pojawiali się znawcy spraw artystycznych do wrocławskiej rotundy z „Panoramą Racławicką”, która dla rozwoju malarstwa nie miała żadnego znaczenia, spieszyła cała Polska, znajdując tam obraz narodowej victorii i nie ponadto. W „Azotach” nie dbają o spuściznę Sympozjum, skwapliwie pozbywają się jednego z dzieł, bo te obiekty ani ich grzeją, ani ziębią. Można zatem powiedzieć, że idea wprowadzenia sztuki współczesnej w środowiska robotnicze wzięła w łeb za sprawą ignorancji estetycznej tej społeczności, ale można też stwierdzić coś zupełnie innego: że w Puławach wystawiono na pośmiewisko pychę artystów. Według niektórych prominentnych krytyków Sympozjum było doniosłym krokiem na drodze rozwoju sztuki nowoczesnej w PRL, ale kto wie, czy nie jest ono ważniejsze jako przykład społecznej porażki sztuki obecnej w Polsce.

Wiele wskazuje na to, że jedynie dzieło Bronisława Kierzkowskiego uchowa się spośród tych, które pozostały w Puławach w roku 1966. Uchowa się dzięki przeniesieniu do Bałtowa, gdzie za sprawą ludzkiej woli i pewnych zabiegów semantycznych, w zasadzie nie naruszających jego struktury formalnej, znalazło się w obszarze autentycznego sacrum lokalnej historii i kultury w troskliwej pamięci tej małej społeczności. Owszem, w mniejszym już stopniu oznacza siebie samo, niż konkretny, tragiczny fakt z przeszłości wsi — ale czy to powód do grymasów?

Ciekaw wszak jestem czy artysta wiedział o tej całej operacji? W żadnym miejscu pomnika nie znalazłem jego nazwiska.

Jakby spojrzeć na sprawę, pouczająca jest ta lekcja społecznej historii sztuki, która odbyła się w klasie „Puławy — Bałtów”.

## Elżbieta Świącicka

### BOG I WOJNA

Kiedy jest wojna  
Pan Bóg chowa się — a tuk tęczy,  
placze.  
I po co te łzy?  
Idę do Niego  
Jak ptak z przestrelonym skrzydłem.  
Gdzie jest Bóg?  
Bóg skulony za tęczą,  
placze.  
I po co te łzy?  
Panie Boże, spójrz, usłysz!  
Ale kiedy jest wojna,  
Pan Bóg zamyka oczy,  
zatyka uszy,  
placze.  
A może i Pan Bóg się boi?

### DLONIE

Moje dłonie są jak kalendarze,  
każdy rok zostawił jakąś kreskę,  
rysunek życia,  
dziwny rysunek.

bo waży tak dużo.  
Moje dłonie są jak zegary,  
każda godzina je zmienia.  
O światcie są lekkie i młode,  
kłamliwą.  
W południe, wskazówki palców,  
opóźniają bieg.  
Wieczorem,  
wieczorem są prawdziwe,  
ciężkie i stare,  
nie lubię ich.  
Lecz kiedy dziecko  
policzek do nich przytuli,  
otwierają się jak różowa muszla,  
pełna wielkiej miłości.

### CZAS

Czas, mój czas zmienił się w wierzbę.  
Piękną, ogromną,  
którą kiedyś posadziłam obok mego domu.  
W moje włosy ze złota  
srebrem zubożone,  
w tomy moich myśli,  
doświadczeń mądrości  
i we wspomnienia, których kolor i zapach,  
smakują jak soczysta gruszka  
z ogrodu mego dzieciństwa.  
Czas, mój czas,  
zamienił rączki mego syna  
w mocne, opiekuńcze, męskie dłonie.  
I dobrze, że tak jest.  
Chciałabym jednak zobaczyć,  
w co jeszcze będzie się zmieniał?  
Jestem nadal wszystkiego ciekawa.



Rys. Edward Ingłot

### ROZMYŚLANIE

Oparł się o mnie czas,  
mięciutko, jak szary kot,  
niepostrzeżenie.  
udaje miłość,  
srebrzy włosy,  
kusi poddaniem.  
A ja jeszcze nie słyszałam  
śpiewu wszystkich ptaków.  
Chcę jeszcze łak motyli,  
smaku jabłek,  
kasztańno rudolśniących,  
wiatru w górach.  
Wiatry w Kazimierzu,  
całego świata.  
Przecież ja na to  
nie miałam czasu!



# Z dziejów Sejmu II Rzeczypospolitej

Emil Horoch

**T**RADYCJE polskiego parlamentaryzmu sięgają początków państwa polskiego. Już we wczesnym średniowieczu istniały tzw. wiece, które były pewną formą współzawodniczenia społeczeństwa wspólnie z panującym. Z czasem instytucja ta przekształcała się w zjazdy poszczególnych ziem Korony, a następnie w sejmiki ziemskie. Rola ich rosła wraz ze wzrastającym znaczeniem stanu szlacheckiego.

Ostateczne wykształcenie instytucji polskiego parlamentu nastąpiło w wieku XV. Składał się on, aż do rozbiorów, z trzech stanów sejmujących: króla, senatu i izby poselskiej. Należy jednak podkreślić, że sejm przedrozbiorowej Rzeczypospolitej był bezpośrednim reprezentantem wyłącznie stanu szlacheckiego. W sejmie obowiązywała zasada jednomyślności, która od końca wieku XVI przerodziła się w sławetne liberum veto. W okresie saskim do skutku dochodził zaledwie co czwarty sejm. Oznaczało to niemal całkowity paraliż organu ustawodawczego władzy państwowej.

Reformy Sejmu Czteroletniego (1788—1792), których dorobkiem stała się Konstytucja 3 Maja, nie dały jednak większego efektu w wyniku zniknięcia z mapy politycznej Europy państwa polskiego.

Po utracie niepodległości instytucja Sejmu istniała w okresie Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego. W następnym okresie Polacy uczestniczyli w pracach organów ustawodawczych państw zaborczych. Były to: sejm pruski i parlament Rzeszy, austriacka Rada Państwa i Sejm Krajowy we Lwowie oraz carska Duma.

W momencie odzyskania niepodległości, na jesieni 1918 r., powstające regionalne ośrodki władzy postulowały wprowadzenie w Polsce rządów opartych na parlamencie.

Już 28 listopada rząd J. Moraczewskiego wydał dekret o ordynacji wyborczej. Opierała się ona na demokratycznych zasadach tzw. pięcioprzymiotnikowego prawa wyborczego. Stworzono też możliwość stosunkowo łatwego zgłaszania list wyborczych. Mogło ją zgłosić już 50 obywateli, którzy podpisali taką listę. W praktyce jednak listy były zgłaszane przez stronnictwa i partie polityczne, które niejednokrotnie tworzyły na okres wyborów specjalne organizacje wyborcze.

Wybory odbyły się 26 stycznia 1919 r. jeszcze w warunkach tworzącego się państwa. Nie były rozstrzygnięte problemy granic, brakowało stabilizacji wewnętrznej oraz trwała rywalizacja pomiędzy J. Piłsudskim a R. Dmowskim. W wyborach uzyskały zwycięstwo siły prawicy skupione wokół endecji, które zdobyły 40 proc. głosów. Stosunkowo duży procent głosów padł na listy PSL „Piast”, PSL „Wyzwolenie” i PPS. Wyniki te mogły wydawać się zaskakujące w porównaniu z niektórymi przekazami źródłowymi, które mówią o olbrzymiej radykalizacji polskiego społeczeństwa na przełomie lat 1918/1919. Parlament jednak w wyniku pierwszych wyborów posiadał większość pracowocentrową.

Na Lubelszczyźnie na pierwszym miejscu uplasowało się PSL „Wyzwolenie”, na drugim Sejmowy Związek Ludowo-Narodowy (endecja), a na trzecim PSL „Piast”.

W wyborach nie wzięła udziału KPRP, która rzuciła hasło bojkotu wyborów i w dalszym ciągu stała na gruncie programu walki o ustrój radziecki.

10 lutego 1919 r. nastąpiło uroczyste otwarcie obrad Sejmu. Odbyło się ono w budynku b. Maryjskiego Instytutu dla Panien w Warszawie przy ul. Wiejskiej. Gmach ten służy polskiemu parlamentowi do chwili dzisiejszej. Obrady otworzył naczelnik państwa, J. Piłsudski. Oznajmił, iż Sejm „znowu będzie domu swego ojczystego jedynym panem i gospodarzem”.

Pierwszy Sejm odrodzonej Rzeczypospolitej stał się symbolem odradzającego się państwa. Wiązano z nim duże nadzieje na zmiany w państwie. Można nawet stwierdzić, że istniał w społeczeństwie swoisty fetysz odrodzonego państwa i parlamentu. Dawalo znać o sobie przeświadczenie, że niepodległe państwo, własny Sejm, pozwolą na rozwiązanie wszystkich problemów, z którymi borykało się społeczeństwo. Rzeczywistość okazała się inna. Prawicowy kształt parlamentu, klasowe oblicze państwa było skuteczną tamą wobec projektów zmian w kierunku lewicowym czy demokratycznym. To właśnie z tego zrodziła się w następnych latach rozgoryczenie pokolenia Marka Świdry i Cezarego Baryki, które doprowadziło ich do „marszu na Belweder”.

Najważniejszym przedsięwzięciem pierwszego Sejmu było uchwalenie Konstytucji marcowej. Akt ten kończył formalnie okres powstania państwa polskiego.

Drugie wybory odbyły się 5 listopada 1922 r.

## Między Tygrysem a Eufratem (4)

**N**ASZA przeszłość — mówi mi o Iraku jeden z Arabów — ginie w mrokach niejasności, a nasza przyszłość wciąż jest zagrożona. Niedługo ten kraj miał wiele wody i rosło tu wiele drzew i roślin. Cały system nawadniania łączył miasta i osady. Dzisiaj mamy nowoczesne drogi i płaską, pustynną ziemię, jałową od piasku. Już na innych państwach wyniosło, chcąc zrekompenzować sobie inny czas. Ale tylko jeden czas jest ważny — teraz”.

Współczesny Irak to gigantyczny plac budowy, którego rozmachu inwestycyjnego nie powstrzymała nawet długotrwała wojna. Szczególnie imponująco prezentuje się pod tym względem Bagdad, gdzie wyburza się całe stare dzielnice, by na ich miejsce wzniesić inne, czyste i nowoczesne, i który z ogromnego obszaru miasta, zaludnionego jednopiętrowymi domkami z ogródkiem, staje się jednym z najładniejszych, budowanych wysoko miast tego rejonu świata. Wygodne i dobrze zaprojektowane wiadukty, estakady i trasy szybkiego ruchu coraz bardziej ułatwiają pojazdom poruszanie się po mieście, gdzie wciąż jeszcze przepisy drogowe mają znaczenie mniejsze niż instynkt samozachowawczy i złość kierowcy. Nowych dzielnic nie buduje się pod europejską, wielkopłytkową sztapkę; zachowują specyfikę rodzimej urbanistyki, pełnej fantazyjnego rozdekorowania, ale również lekkości i funkcjonalności. Wciąż jeszcze w starych dzielnicach miasta (jak Rashid) czy na przedmieściach odurza brud i niechlujstwo, brak chodników, a po jesienno-zimowych deszczach rwa ulicami potoki brudnej wody, pełnej odpadków i nieczystości. Droga: Międzynarodowy Port Lotniczy — miasto jest jednak szeroka i oiekna, przechodząca wzdłuż Białego Mezzetu łagodnym półkolem, aż pod siedzibę prezydenta. Pałac Kongresowy i jego zaplecze z dwoma luksusowymi hotelami w pobliżu. Pałac, w którym miał się w 1982 roku odbyć kongres państw niezaangażowanych, nie spełnił swej funkcji. Pod wpływem gróźb płynących z Teheranu konferencję przeniesiono do Delhi, a zamiast Saddama Hussajna, przewodniczącego tego ruchu objęła pani Gandhi. Pałac jednak pozostał, dając

świadectwo zdolności organizacyjnym i inwestycyjnym Iraku.

Raptowny rozwój tego kraju łączy się niewątpliwie z chwilą, gdy po krótkotrwałym okresie monarchii stał się on republiką i państwem w pełni niezależnym. A stało się to w roku 1968. Rocznicę dwóch rewolucji: 14 i 17 lipca obchodzi się tu jako najważniejsze narodowe święta. Szczególnego rozmachu nabral jednak rozwój państwa po objęciu władzy przez Saddama Hussajna — młodego, energicznego przywódcę, którego wysokie ambicje stały się wkrótce niewygodne nawet dla jego sojuszników z arabskiego świata (vide — nieudana próba unii z Syrią; dziś granica syryjska jest szczelnie zamknięta).

Żył w małych, wydzielonych enklawach, oddaleni od problemów miejscowej ludności, obojętni na sprawy społeczne i świadomość swych poddanych. Ich wpływ nie zaznaczył się tu specjalnie, nie licząc narzucenia pewnych form zwyczajowych, które nieco snobistycznie są do dziś kultywowane. Ostateczny rozpad Imperium przyniósł Irakowi monarchię i niepodległość, ale także wciąż jeszcze sporą zależność od interesów i kapitałów swej dawnej metropolii.

Lata pięćdziesiąte to burzliwe czasy dla całego Bliskiego Wschodu. Coraz potężniej bowiem dochodzą do głosu narodowe i ponadnarodowe aspiracje krajów tego obszaru, świadomych bezustannie rosnącej wartości bogactwa, które tak nieoczekiwanie znalazło się w pustynnej, jałowej i nieurodzajnej ziemi. Idee narodowe, a wraz z nimi panarabistyczne, zaczyna gło-

mo rozłamów i podziałów, jakie się w niej dokonały.

Wraz z legalizacją, choć nie dekonspiracją, partii dokonano radykalnych przemian w strukturze społecznej i ekonomicznej państwa. Pierwszym posunięciem republiki było uspołecznienie narodowego bogactwa — ropy naftowej, upaństwowienie przedsiębiorstw jej wydobywania i dystrybucji. Ropa zaczęła przynosić wreszcie korzyści swym rzeczywistym właścicielom. To ona i płynący z niej kapitał umożliwiły nakłady inwestycyjne na szeroką skalę. Zreformowano szkolnictwo, służbę zdrowia, administrację. Zaczęto likwidować analfabetyzm, niemal powszechny w tym kraju przed republiką, powstały wiejskie szkoły i wiejskie ośrodki zdrowia. Państwo rozszerzyło opiekę socjalną nad wszystkimi warstwami społeczeństwa. Dzieki i prymitywne plemiona nomadów, wciąż jeszcze przemierzające kraj z

## Dzień dzisiejszy

Wiesław Horabik

Pisząc o przemianach politycznych w tym rejonie świata nie można zapominać, jak gwałtowne bywały, jak nieoczekiwane konsekwencje przynosiły i jak raptownymi zwrotami się charakteryzowały. Tak było dawniej i tak jest do dziś, czego najlepszym dowodem może być choćby Iran. Również przemianom Irakim towarzyszyły nieraz krwawe rozprawy z oponentami nowego ładu, z przywódcami odmiennych frakcji, ze zwolennikami dawnych form i struktur państwa. Stabilizacja następowała jednak szybko i skutecznie. Wspólny wysiłek wojenny i poczucie narodowego zagrożenia wydały się cementować teraz naród i skupiać go wokół osoby obecnego przywódcy. Jego dokonania dla kraju są bezsporne i niezaprzeczalne.

Droga do rewolucji była długa.

Po okresie tureckiej dominacji Irak stał się, w latach dwudziestych naszego wieku, brytyjską kolonią i taki stan rzeczy utrzymywał się do 1932 roku. Anglii, jak to Anglii — dbali o Irak tyle, co i o inne kolonie, a może jeszcze mniej, jakby wciąż licząc się z tymczasowością swojego tu panowania. Z pewnością nie była to perla w brytyjskiej koronie. Ciągnęli zyski z ropy,

się wiele ugrupowań politycznych działających legalnie, półlegalnie lub z ukrycia. Konspiracyjnie (teoretycznie aż do dzisiaj) działa również Socjalistyczna Partia Jedności Arabskiej BAAS. Zrodzona wśród bejruckiej elity intelektualnej, szybko rozrosła strukturami w całym Libanie, zaczęła potem promieniować intensywnie na inne, ościenne państwa arabskie. (Podobno jej komórki istnieją do dziś w Arabii Saudyjskiej i Kuwejcie, krajach odległych w swej politycznej rzeczywistości od jakiegokolwiek form socjalizmu). To właśnie partia BAAS objęła, pod koniec lat sześćdziesiątych, władzę w Iraku i utrzymuje ją do dziś. To ona popchnęła kraj na nowe drogi rozwoju, ona steruje jego polityką zewnętrzną i wewnętrzną. Do tej partii należał sam prezydent; jest to przecież partia wielu Arabów, mi-

jednego końca w drugi, rozbijające swe wielkie, czarne namioty na pustyni i trudniące się głównie pasterstwem, stopniały gwałtownie, przenosząc się z Iraku w inne rejony lub wybierając stacjonarny tryb życia. Rozwinęła się ożywiona wymiana handlowa z krajami socjalistycznymi. Dzisiejsi Iracy lekarze i specjaliści innych dziedzin kształcą się i u nas. Polskie przedsiębiorstwa realizują wiele przemysłowych inwestycji Iraku. Polityka zagraniczna tego kraju, mimo zaangażowania w konflikt zbrojny, pozostaje nadal polityką neutralności i dobrosąsiedzkich stosunków z innymi państwami tego regionu, a zwłaszcza z Kuwejtem i Jordanią.

Problem kurdyjski to jedno z najtrudniejszych zagadnień sytuacji wewnętrznej Iraku. Zamieszkują oni północne, podgórskie obszary kraju. Swo-



Państwo polskie było już organizmem w pełni wykształconym. W wyborach zgłoszono ponad 20 list. Na plan pierwszy wybijały się następujące: Chrześcijański Związek Jedności Narodu (trw. Chjena), stronnictwa chłopskie, PPS, mniejszości narodowe. Do wyborów przystąpiła również KPRP, która powołała swoją legalną organizację wyborczą pn. Związek Proletariatu Miast i Wsi.

W kampanii wyborczej na plan pierwszy wysuwała się bardzo ostra, agresywna propaganda Chjenny. Operowała hasłami prawicowymi. Z jej szeregów wyszedł postulat utworzenia silnej, polskiej większości. Atakowała Pilsudskiego i ugrupowania lewicowe. Inspirował ją m.in. zwycięski marsz „Czarnych Koszul” Mussoliniego na Rzym. Bardzo ostro atakowała mniejszości narodowe.

Lewica (PPS, PSL „Wyzwolenie”) akcentowała w swoim programie postulat utrzymania zdobyczy demokratycznych z lat 1918—1921. Komuniści akcentowali hasło walki o Polskę socjalistyczną.

Pojawił się również Blok Mniejszości Narodowych. Grupował on przedstawicieli Żydów, Niemców, Ukraińców i Białorusinów. Jako cel stawiał sobie walkę o prawa dla swoich narodowości.

W wyborach najwięcej głosów padło na Chjenę — 29,1 proc. Blok Mniejszości Narodowych zdobył 16 proc., Piast 13,2 proc., Wyzwolenie 11 proc., PPS 10,3 proc. Komuniści mimo wielu trudności (m.in. unieważnienia list), zdobyli 1,4 proc., co należy uznać za sukces. Na Lubelszczyźnie najwięcej mandatów zdobyli endecy, a dalej Wyzwolenie, Chłopskie Stronnictwo Radykalne i Piast.

Kadencja Sejmu zakończyła się w 1927 r. Przez większą część kadencji unosił się nad nim cień „wielkiego nieobecnego” — J. Pilsudskiego. Był to Sejm, w którym nie było trwałej większości. Trwał kontretrans rządów. W tym okresie miały miejsce wybory pierwszego prezydenta Polski, dokonał się zamach majowy, J. Pilsudskiego wybrano prezydentem. Rezygnując z tej funkcji, polecił na to stanowisko I. Mościckiego. Sejm ten był świadkiem końca demokratycznej Rzeczypospolitej i początku dyktatury sanacyjnej. W tych latach rozpoczął się proces zmian konstytucyjnych. Miały one doprowadzić do zastąpienia Konstytucji marecowej ustawą zasadniczą, która prawnie usankcjonowałaby rząd sanacji.

W kolejnych wyborach, które odbyły się w marcu 1928 r., obok tradycyjnych ugrupowań politycznych pojawiło się nowe. Był to Bezpartyjny Blok

Współpracy z Rządem, partia polityczna sanacji BBWR opierała swoją działalność na dwu hasłach: że jest organizacją marszałka Pilsudskiego i że nie jest partią polityczną. W tym stronnictwie, jak określił Adam Próchnik, „złączono radykałów i konserwatystów, księży, masonów i Żydów, b. socjalistów, b. ludowców, b. narodowych demokratów”.

Wybory zostały rozpisane na dzień 4 marca. Koła sanacyjne przypuszczały, że BBWR — przy wybitnym poparciu rządu, administracji i pomocy finansowej — zdobędzie odpowiednią liczbę mandatów, która pozwoli na kontrolowanie Sejmu. Akcją wyborczą z ramienia sanacji kierowali: Walery Sławek, Kazimierz Świątalski i Felicjan Sławoj Składkowski, minister spraw wewnętrznych. Na akcję wyborczą BBWR przeznaczono bezprawnie osiem milionów złotych. Będzie to później powodem postawienia przed Trybunałem Stanu ministra Czechowicza.

Sanacja uzyskała 1/4 wszystkich oddanych głosów. Złożyło się na to: duże środki finansowe, nacisk administracji, nadużycia wyborcze i popularność J. Pilsudskiego. Klęskę poniosły stronnictwa prawicy, a zwłaszcza endecja i Piast. Sukces odniosły: PPS, Wyzwolenie, Stronnictwo Chłopskie i komuniści. Mniejszości narodowe uzyskały 24,1 proc. głosów.

Na Lubelszczyźnie BBWR zdobył cztery mandaty, PPS — siedem, Wyzwolenie — dziewięć, SCH — sześć, endecja — trzy i Zjednoczenie Lewicy Chłopskiej „Samopomoc” (współpracujące z KPP) jeden mandat.

Nowy Sejm stał się miejscem ostrej konfrontacji pomiędzy blokiem rządowym a pozostałymi stronnictwami, zwłaszcza przy wyborach marszałka Sejmu, którym został Ignacy Daszyński. Zdyktansował on kandydata BBWR, Kazimierza Bartla. Kolejnymi etapami starcia była sesja budżetowa, sprawa ministra Czechowicza, dążenie do zmiany Konstytucji. O stylu walki z marszałkiem Daszyńskim świadczyć może treść artykułu zamieszczonego w prozadowej „Gazecie Polskiej” (2 stycznia 1929 r.) pt. „Chory Człowiek”. Pisano w nim: *P. Ignacy Daszyński jest człowiekiem chorym. Powinien udać się do sanatorium, nie usiłując pełnić funkcji, do pełnienia której najwidoczniej nie jest zdolny. Chory człowiek na czele chorej instytucji — jest to stan rzeczy, który trwać nie może i do niczego nie może doprowadzić.*

We wrześniu 1929 r. doszło do wyłonienia się szerokiej opozycji antysanacyjnej w Sejmie. Zgrupowali się w niej przedstawiciele sześciu partii: PPS, SCH, Wyzwolenia Piastów ChD i Narodowej Partii Robotniczej. Ugrupowanie to zostało nazwane Centrolewem. Blok ten stawiał sobie za główny cel obalenie na drodze parlamentarnej dyktatury sanacyjnej.

Wobec akcji Centrolewu rząd przeszedł do ostrego przeciwdziałania. 25 sierpnia 1930 r. premierem został J. Pilsudski, a 29 sierpnia ukazał się dekret prezydenta rozwiązujący parlament z dniem 30 sierpnia, z jednoczesnym wyznaczeniem wyborów do Sejmu na dzień 16 listopada.

W trakcie kampanii wyborczej rząd zastosował, już bez żadnych osłon, bezwzględnie akcję terrorystyczną wobec opozycji. Zostali aresztowani przywódcy Centrolewu (m.in. Barlicki, Dubois, Witos, Kiernik) i osadzeni w twierdzy wojskowej w Brześciu nad Bugiem. Komendantem twierdzy był płk Wacław Kostek-Biernacki, który już w Legionach, jako szef żandarmerii, zyskał sobie miano Kostki Wieszatela. Aresztowano ponadto około 5000 działaczy politycznych opozycji, przeprowadzono szereg rewizji w lokalach i mieszkaniach członków Centrolewu.

Wybory brzeskie w Małopolsce zostały poprzedzone pacyfikacją. Przed wyborami, w wywiadzie dla „Gaty Polskiej” J. Pilsudski oświadczył: *I jeżeli czego żałuję, to, niestety, powolności w procedurze sądowej, która może nie nadaży za krótkim terminem wyznaczonym na „karność” panów posłów. Lecz przynajmniej niech te niechlujne stworzenia wysiedzą się w więzieniu, nauczą może trochę dyscypliny stosowanej do nich i może trochę tej durnej aberracji myślowej „pyskacze zagubią”.* Komentarz do tych słów jest zbyteczny.

Po wyborach brzeskich Sejm został zdominowany przez BBWR. Był to początek końca jego roli w systemie władzy II Rzeczypospolitej. Dalszym krokiem pomniejszającym jego znaczenie było wejście w życie Konstytucji kwietniowej, która podporządkowała Sejm osobie prezydenta. W dwu ostatnich wyborach (1935 i 1938) opozycja nie brała udziału. Nie zgadzając się z antydemokratyczną ordynacją wyborczą, zbojkotowała je. Do końca II Rzeczypospolitej Sejm był całkowicie zdominowany przez obóz sanacyjny i nie odgrywał większej roli w życiu politycznym państwa.

ją odrębność zaznaczają odmiennością ubiorów, zwyczajów i postaw. To problem wysoce skomplikowany. Energetyczny, dumny naród, rozrzucony w obrębie czterech różnych państw, nie wszędzie cieszy się autonomią i równouprawnieniem. Kurdowie iracy wielokrotnie zrywali się do zbrojnych powstań, pragnąc wywalczyć samodzielność państwową. Obecnie wiele ugrupowań przyjęło postawę kooperacji i współpracy z rządem w Bagdadzie. Mają oni równe prawa i cieszą się swoistą formą autonomii. Ale nie wszyscy spośród nich tak właśnie widzą tę sytuację. Erbil — niemianowana stolica irackiego Kurdystanu, najstarsze stałe zamieszkałe miasto na świecie, znajduje się pod szczególną kontrolą (gęste patrole policji i wojska, sprawdzanie pojazdów, zakaz nocnego ruchu i wiele innych ograniczeń). Jest ugrupowań kurdyjskich wiele, a ich postawy i dążenia są biegunowo rozbieżne. Trudno człowiekowi z zewnątrz zorientować się w tej złożonej sytuacji. Ale w Erbilu powstaje ogromny, nowoczesny parlament kurdyjski. Może i w tym regionie zapanuje kiedyś pełna stabilizacja...

A wojna nadal trwa. Po początkowym okresie gwałtownych i uciążliwych bombardowań, kiedy lotnictwo irańskie posiadało jeszcze duże zdolności bojowe, obecnie walki przybrały bardziej statyczny charakter. Wojna ogranicza się w zasadzie do południowego obszaru kraju, do okolic Basry i do sporadycznych uderzeń na linii frontu, do ostrzeliwania pogranicza przez artylerię dalekiego zasięgu i do lotów zwiadowczo-rozpoznawczych. A jednak czasami rusza kolejna ofensywa, a rudo-białe taksówki wiozą wówczas na dachach proste, zbite z desek trumny, okryte iracką flagą, na wielkie cmentarzysko w świętym mieście szytów — Najaf. Cierpi również gospodarka wewnątrz kraju, pogarsza się zaopatrzenie i przyhamowuje boom inwestycyjny. Czasami, aktami terroru wewnątrz kraju, dają o sobie znać elementy proirańskie. Nie jest to więc okres najszczęśliwszy dla Iraku. A jednak państwo odpięra skutecznie wszelkie ataki nieprzyjaciela. Armia iracka jest stosunkowo dobrze wyszkolona, wspierana przez tzw. Populrny Armij (Armia Ochotnicza) i dobrze uzbrojona. W okresie ofensywy letniej (Ramadan 82) jej dowódcy wykazali się także niemałymi zdolnościami strategicznymi. Wszelkie próby pokojowego uregulowania konfliktu rozbijają się o upór i zadrążoną dumę. I tak pozostaje ta wojna wiecznie tłącym się lontem w

rejonie Zatoki Perskiej, budząc niepokój świata arabskiego i świata w ogóle, grożąc bezustannie rozlaniem się na kraje sąsiednie, a nawet destabilizacją całej sytuacji politycznej na Bliskim Wschodzie.

Wielkim, niezwykle uciążliwym mankamentem prawidłowego funkcjonowania państwa wydaje się być nadmiernie rozbudowana biurokracja. Jest to z pewnością dziedzictwo tureckiej administracji imperialnej, gdzie najdrobniejsza sprawa napotykała dziesiątki przeszłości na swej drodze do załatwienia. Szerzyła się przy tym korupcja i łapownictwo. Do dziś „bak-szysz” pomaga w obiegu spraw, ale gmatwanina przepisów, zwłaszcza meldunkowo-pobytowych, jest nieraz barierą nie do przebycia. Jest tylko jeden plus całej tej sytuacji — jeśli bowiem liczyć cierpliwość za cnotę, irackie urzędy i instytucje społeczne z pewnością uczą jej skutecznie. Cnota cierpliwości i ogólnej powolności działania jest bowiem cecha narodowa, a może i rasową społeczności arabskiej. Wynika ona po większej części z warunków klimatycznych, gdzie długie południowe sjeasty przez całe upalne lato są wręcz życiową koniecznością. A jednak, jak wszyscy południowcy, są Irakijczycy podatni na wszelkiego typu utarczki słowne i oznaki irytacji, przy blahych nieraz okazjach. Najczęstszym powodem publicznych zatargów są, jak wszędzie, niereakcje tu samochodowe stłuczki. Są jednak Irakijczycy, jak wszyscy Arabowie, mistrzami w handlu. Handlują tu, na dobrą sprawę, wszyscy — od małych chłopców, sprzedających zagraniczne papierosy na chodnikach miast a w upalne dni wodę z lodem w metalowych czar-kach, po starców handlujących owocami, warzywami, bakaliami.

Barwne uliczne targi (suki) są najbardziej charakterystyczną częścią irackich miast. Można tu kupić wszystko: przyprawy zazieleniających kolorów i zapachów, owoce świeże i suszone, figi, rodzynki, migdały, miedziane dzbany i misy bogato zdobione, zakrzywione wschodnie szable i kinyżki, obrazy i ogromne fajki z potężnym cybuchem i małe szklane dzbanki do herbaty (która pije się tu mocną i bardzo słodką), wyroby ze skóry, gliniane naczynia, a także wiele nowoczesnych sprzętów użytkowych. Panuje tu gwar i hałas, wzniesiony przez zachwalających swe towary handlarzy i ogłuszający dźwięk piskliwej muzyki Wschodu. Tutaj dzieje się atmosfera Orientu najmocniej i nigdzie targ nie jest bardziej kolorowy i rozrządzany. Jest suk serowy i papierniczy, mięsny i odzieżowy oraz są szereg małych, ciemnych sklepików, gdzie sprzedaje się zoty i biżuterię. Złoto jest tu niezłej próby, choć wyroby zazwyczaj tandetne, przystosowane do gustów lokalnego klienta. Takie suk znajdują się wszędzie, na całej byle osmańskości, od Bejrutu do Casablanki i od Rijadu do Istanbuhu. Są one nieodłączną częścią lokalnego krajoznawstwa.

Transport iracki to prawie bez wyjątku samochody. Niewielkie ilości towarów przenoszą samoloty. Transport morski, głównie ze względu na zogniskowanie działań wojennych w rejonie Zatoki Perskiej, praktycznie nie istnieje. Jest w tym kraju zaledwie jedna linia kolejowa i choć łączy ona kraj z południa na północ i prowadzi z Basry, przez Bagdad do Mosulu, ten środek transportu, ze względu na uciążliwy charakter podróży i wydłużony czas jej trwania, nie cieszy się specjalnym wzięciem. Międzynarodowy transport towarowy opanowali w przeważającej części Turcy. Cały dzień i długą część nocy posuwają się tureckie ciężarówki w głąb kraju lub wspinają się krętymi, górskimi drogami do domu i dalej, do Europy. Są one niezwykle kolorowe, z prymitywnymi malunkami na burtach, wyobrażającymi sielskie krajoznawstwo, z kolorowymi domkiem nad brzegiem strumyka i cienistym lasem w głębi. Umiłowanie ozdób samochodowych jest i wśród Arabów ogromne. Bywały czasy, kiedy firma Mercedes produkowała specjalne modele, szczególnie udekorowane, wylądowały na ten rynek. Elementy zdobnicze mogą stanowić skrzyżowane rakietki od badmintona, czy pokojowa antena telewizyjna. Najczęściej są to jednak światelka odbłaskowe i lusterka boczne, których liczba dochodzi nieraz do kilkunastu. Suną więc te rozświetlone wehikuly przez mrok nocy, migotliwe, jak ruchome choinki. Większość dróg to drogi szybkiego ruchu o dobrej nawierzchni i właściwym profilu. Wszystko to zapewnia dostateczne zaopatrzenie kraju w towary i szybki, sprawny kontakt z otaczającym światem. Kursują stąd autobusy do Istanbuhu, Sofii, Belgradu i Ammanu, przewożąc turystów i wycieczkowiczów, choć jest to ruch raczej jednostronny. Jako że turystyka międzynarodowa została czasowo w Iraku zatrzymana. Nawet wyjazdy służbowe Irakijczyków są obecnie poważnie ograniczone.

Wszędzie widać także środki bezpieczeństwa, mające zapobiegać ewentualnym próbom dokonywania aktów terroru i sabotażu wewnątrz kraju. Przed każdym większym miastem ustawione są punkty kontroli (Check point), na których żandarmeria wojskowa w czerwonych, komandoskich beretach sprawdza dokumenty podróżujących, a czasami i zawartość ich bagażu. Cudzoziemcy są z reguły kwitowani niedbałym machnięciem ręki, zewalającym na odjazd. Na niektórych trasach obowiązuje konwoje; tłumaczy się je troską o bezpieczeństwo obcych, zwłaszcza na terenie Kurdy-

stanu (zdarzały się porwania, służące do wymuszania okupu lub ustępstw politycznych). Czeka się wtedy, aż zbierze się większa grupa pojazdów i pod ochroną wojska przemierza się szczególnie niebezpieczny odcinek trasy. Na podgórze szczególnie częste są patrole helikopterów, lecących nisko nad ziemią i wojskowe punkty obserwacyjne, stosunkowo nieczęsto obwarowane. W miastach, przed ważniejszymi instytucjami, posterunkami policji i wojska ruch samochodowy hamowany jest przez tzw. leżących policjantów. Są to faldy asfaltu wybrzuszony na drodze i zmuszające kierowców do zmniejszenia szybkości, a nawet do zatrzymania się.

Kiedy wsiadałem do samolotu Iraqi Airways, mającego zanieść mnie do Aten, zabrano nam wszystkie bagaże, łącznie z podręcznym, a nawet saszetki z dokumentami i plastikowe torby na zakupy. Detektorami długo sprawdzano pokład samolotu, a kontrola osobista była bardzo drobiazgową.

Takie jest dziś tego starego kraju o drugiej młodości, przez który przetoczyły się dawne cywilizacje, aby z nich i na ich miejscu mogła powstać nowa: ambitna, prężna i uparta. Taką jest teraźniejszość tego kraju, którego gwałtowny i na wyraz pospieszny rozwój przysłał nieco wraz z wybuchem zbrojnej konfrontacji, choć nie został zahamowany; którego pozycja i poczucie wartości wśród sąsiednich krajów arabskich jest wciąż silne i uzasadnione; którego gospodarka wytrwale i uparcie opiera się recesji i utrzymuje stan zaopatrzenia na przyzwyczajonym poziomie, mimo iż wojna pochłania miliony dolarów rocznie; którego administracja utrzymuje spokój i bezpieczeństwo wewnątrz kraju; którego ludzie są życzliwi, aczkolwiek nie zawsze zdolni do pełnego przezyczenia uprzedzeń, przekazanych im przez historię. Taką jest teraźniejszość kraju, którego styl życia i obyczaje tak bardzo różnią się od naszych, kraju, który ciężko zrozumieć, ale którego trudno nie darzyć szacunkiem.

„Kiedyś były tu wielkie ludy i przemigły — mówi mi jeden z Arabów — Ich dokonania spoczywają w naszej ziemi, pod płaskim i w księgach historii. Niegdyś mieliśmy wielkich uczonych, lekarzy i artystów. Dziś mamy wielu żołnierzy i proroków. Nie ma nic do zrozumienia w nas tak, jak nie ma nic do zrozumienia w kimkolwiek innym. Rozumienie rzadko tylko bierze się z rozumu; a rozumieć, to wcale nie znaczy wiedzieć”.



# Co zrobić z Latem Teatralnym w Zamościu?

Lidia Wójcik

**W** ZAMOŚCIU odbyło się kolejne, dziesiąte już, Lato Teatralne. Temat nie jest jednak specjalnie przyjemny. Trzeba więc może zacząć od przywołania myśli „cudzych”. Pod koniec lat siedemdziesiątych na któreś Lato Teatralne przybył Roman Szydlowski; potem w „Życiu Literackim” pisał entuzjastycznie: „I może do tej „Padwy Północy” przyjeżdżać będą teatry nie tylko z Polski, lecz także z wielu innych krajów, by prezentować swoje najlepsze spektakle i dyskutować na temat przeszłości, teraźniejszości i przyszłości pięknej sztuki Melpomeny...” Od tamtej pory minęło już lat kilka, oczekiwania krytyka nie spełniły się. Ba, w Zamościu zapomniano już nawet, że Lato Teatralne zostało niegdyś pomyslane jako impreza plenerowa, gdzie miano prezentować widowiska teatralne wyłącznie w otwartej przestrzeni.

Obecnie przyjeżdżają do Zamościa teatry różne, lepsze i gorsze, te ostatnie częściej. Pokazują przedstawienia „przypadkowe” bywa że bardzo niedobre, grane byle jak, jak to na zwyczajnym objeździe w tzw. „terenach”. Teatry przyjeżdżają i wyjeżdżają szybko, spiesząc na przerwy urlopowe. Zainteresowanie imprezą nie wychodzi poza granice Zamościa. Nie zjawiają się tu krytycy, dziennikarze, nikt nie dyskutuje o przedstawieniach, zresztą nie ma o co się spierać.

Tylko organizatorom imprezy, jak mi się zdaje, nie brakuje wciąż optymizmu i samozadowolenia. Twierdzą, że owszem impreza się rozwija i jest na jak najlepszej drodze. Bo nawet w tym roku na niektóre przedstawienia chętnie kupowano bilety, a kilkadziesiąt osób zupełnie dobrowolnie nabyło karnety na całą imprezę. Ponadto na tegoroczne Lato próbowano dobrać przedstawienia według tematu: sprawy Polaków. Więc jest to podobno „sukces” duży!

Kiedyś mówiono, czy nawet pisano, że Lato Teatralne w Zamościu jest imprezą organizowaną na wzór festiwalu w Awignonie. Nikt poważny nie mógł chyba tego wymyślić. Zresztą, nie wiem, może kiedyś rzecz cała wyglądała inaczej, obserwowałam Lato Teatralne dopiero po raz drugi. Gdyby próbować jakichkolwiek uogólnień, należałoby powiedzieć na pewno tyle, że Lato Teatralne jest imprezą o wymiarze prowincjonalnym i przez to chyba niepodobną żadnym festiwalom czy przeglądom teatralnym w kraju. Jest imprezą „samą dla siebie”, istniejącą zapewne ku zadowoleniu miejscowych władz, zaspokojeniu ambicji zamojskich działaczy i pracowników kultury, bardziej może snobizmu niż autentycznych zainteresowań teatralnych. I wreszcie jest to na pewno impreza ku uciesze dzieciarni spędzającej lato w mieście. To wszystko nie jest, oczywiście, wcale złe.

Sprawą najbardziej smutną wydaje się absolutna bez troska i wyraźne lekceważenie imprezy przez teatry. Aż dziwne, że zamojska publiczność nie tupie i nie gwizda, w czasie prezentacji przedstawień tego godnych zachowuje się nadzwyczaj cierpliwie. Nawet opuszczając salę nie trzaska drzwiami. Choć gdyby tak się działo, rzecz byłaby uzasadniona. Bo przyjeżdża oto do Zamościa Teatr im. Osterwy z Lublina. Na scenie WDK kilku ludzi, być może pracownicy techniczni sceny (niestety, wiem, że to „aktorzy”!) próbują, tylko próbują, wyartykułować tekst „Wścieklicy” Witkacego, zajmuje im to około półtorej godziny i dowodzą nawet, że mówienie po polsku nie jest rzeczą prostą, a praca w teatrze wcale do łatwych nie należy. Dowodów lekceważenia imprezy przez teatry można by przywołać jeszcze kilka. Dotyczy to przedstawień Teatru Nowego z Łodzi („Rodzina” Słonimskiego i „Legenda” Wyspiańskiego), jak i „Na czworakach” Różewicza — przedstawienia z Teatru Rozmałości w Warszawie, w reżyserii Andrzeja Marczewskiego.

Może najpoważniej potraktował swój udział w Zamojskim Lecie aktor Teatru im. Słowackiego w Krakowie, Jan Peszek. W przedstawieniu aktor-skim „Scenariusz dla nie istniejącego lecz możliwego aktora instrumentalnego”, jak i w spektaklu „Wysocki”, umiejętności techniczne aktora i możliwości jego talentu ujawniają się jednakowo w przedstawieniach granych w Krakowie, jak i w Zamościu. Zresztą w Teatrze Słowackiego chyba w ogóle

panuje jeszcze przeświadczenie, rzadko już spotykane, że można grać dobrze, niezależnie od miejsca, w którym się gra, i że można prezentować przedstawienia nie byle jakie i nie zdeformowane, nawet jeśli się je pokazuje w nie najlepszych warunkach scenicznych. Pośród przedstawień prezentowanych w sali WDK na uwagę zasługują jedynie właśnie te z Teatru Słowackiego: „Wysocki” w reżyserii Tadeusza Nyczka i „Zanim się przerwie srebrny sznur” Kazancewa, reżyserowane przez Mikołaja Grabowskiego. Można by tu jeszcze przy najmniej wspomnieć o prezentowanym przez wrocławski „Kalambur” przedstawieniu „Kamień na kamieniu” według powieści Myślińskiego. Ale mnie interesowały w Zamościu rzeczy inne.

Architektura i przestrzeń tego miasta mogą stanowić doskonałą przestrzeń teatralną, wystarczy tylko chcieć ją wykorzystać. Istnieje także zapewne wśród widzów jakaś tęsknota za teatrem pod niebem, w nie ograniczonej, otwartej przestrzeni. Świadczą o tym tłumy oblegające w czasie przedstawień Rynek Wielki, choć w takim tłumie znajdzie się zawsze przynajmniej kilkudziesięciu obywateli niezupełnie trzeźwych.



„Romeo i Julia” — Teatr Ochoty 14.07.1985 r. — Zamość.

Fot. Andrzej Bąk

Urządzenie w Zamościu przeglądu widowisk plenerowych wymagałoby obecnie wielu zmian, choćby organizacyjnych. Zmian na pewno możliwych, oczywiście wówczas, jeśli organizatorzy uporządkują się wreszcie z ustaleniem jasnej formuły Zamojskiego Lata.

W tym roku odbyły się tylko dwa przedstawienia plenerowe, dokładnie dwa: „Ubu król” i „Romeo i Julia”, choć spektakli prezentowanych na Rynku Wielkim i w Amfiteatrze, nie licząc tych odwołanych z powodu burzy, deszczu i innych niedogodności pogodowych, było nieco więcej. Ale nie można przecież nazywać plenerowymi przedstawień, które wyjęto z pudełka sceny i zagrano na podestu przy schodach Ratusza w Zamościu. Tylko więc „Romeo i Julia” i „Ubu król” zostały stworzone, bądź przetworzone w przestrzeni tego miasta, wkomponowane w jego architekturę. Elementy architektury stały się częścią przestrzeni teatralnej, częścią scenografii, zyskując przez to semantykę teatralną, najbardziej może znaczącą w strukturze całego spektaklu.

Spektakl Teatru „Stu” z Krakowa „Ubu król” to widowisko, gdzie rzecz dzieje się w Polsce, czyli na karuzeli, która się kręci i którą kręcić można do woli — tak przynajmniej powiada reżyser Krzysz-

tof Jasiński. Ież znaczeń zyskuje ta karuzela usytuowana w Iosie przy kazamatach! Historyczny obraz Polski, o którym opowiada dramat napisany przez A. Jarry, na początku tego stulecia, w przedstawieniu rozpięty został pomiędzy karuzelą a ciężkim czerwonym murem. Akcje rozmieszczone w różnych miejscach, niektóre sceny na murach, a część zdarzeń przeniesiono jakby poza nie. Czasem otwierają się wrota to znów w oknach-strzeżnicach płonie ogień albo zapala się światło i wiadomo, że za murem istnieje inna jeszcze przestrzeń i druga rzeczywistość i drugi wymiar tego przedstawienia. Poszerzenie wymiarów teatralnej przestrzeni prowadzi ku poszerzeniu zakresu znaczeń, jakie niesie przedstawienie.

Możliwość pokazania wielości przestrzeni i wielości rzeczywistości, na jakie pozwala widowisko plenerowe, wykorzystano także w przedstawieniu Teatru Ochoty „Romeo i Julia”. Wyraźnie zaistniała tu przestrzeń — ta, którą widz ogląda bezpośrednio i ta, której istnienia domyśla się widząc jak w te przestrzeni poza sceną, nie oświetloną, wybiegają aktorzy jak w mrok uliczek odjeżdżają konno. Schody Ratusza są w tym przedstawieniu nie tylko elementem dekoracji, ale stanowią część

sceny, miejsce akcji. Spektakl „Romeo i Julia” ujęto w formie lirycznego widowiska, z zarysem sytuacji i postaci jakby z zeszlowiecznoko teatryku. Trzeba przyznać, że to widowisko Teatru Ochoty jest teatralnie bardzo ładne, tylko że oczywiście zupełnie o niczym, ale może takie choćby przedstawienia powinny znaleźć się podczas Lata Teatralnego, po prostu „ładne”, do oglądania.

Nie od dzisiaj wiadomo, że to wszystko, co się pisuje w prasie o teatrze, nie ma żadnego wpływu na życie teatralne. Czasem ktoś przeczyta, nawet się obrazi albo ucieszy, ale nie się przez to nie zmieni. W imprezie zwanej Latem Teatralnym w Zamościu wszystko będzie toczyć się dalej wedle gustów i upodobań organizatorów, albo wedle przypadków. Mimo to ośmielił się w ramach wniosków podpowiedzieć rzecz taką: może by Lato Zamojskie uczynić wreszcie imprezą konkursową, wprowadzić jakiś system nagród, które sprawiłyby, żeby, jeśli zaprosi się kilkanaście teatrów i ponad dwadzieścia przedstawień, można będzie zobaczyć więcej niż dwa przedstawienia przyzwolnie. Oczywiście wiem, że pomysł nikomu się nie spodoba, bo wiąże się z pieniędzmi...

Poczta literacka

Kamena

6

Mateusz P. Łętównia, woj. przemyskie. Posiada Pan wiedzę o historii literatury i kultury, z niej czerpie Pan treść i skolonizację do wierszy. Mniej w nich życia, więcej tego rodzaju zapożyczeń. Niekiedy strofy te brzmią nawet efektownie, czy jednak tedy dźwięk początkującego poety?

Mirosław Grzegorz M. Sosnowiec, Piszce. Pan: „Jedynie redakcja „Barw” obciążyła mecenat nad moją poezją” i dotacza Pan wycinek z odpowiedzi Pocztywłona byłego miesięcznika. Obieci patronat i zaraz przestali się ukazywać! Nie pierwszy raz spotykam się z Pańską przesyłką. Raz już tłumaczyłem, że nie o mnogość imion należy zadbać, aby publikować, tym bardziej, że nie ma innego poety noszącego to samo nazwisko, ale właśnie w

dobrym poezje. Należy dobrze też przedtem poznać ortografię własnego języka. Osobiście nie mam zaufania do autorów, którzy tak mało dbałość okazują w tej istotnej sprawie. Odnoszę wrażenie, iż Pan cała uwagę skupia na wprowadzeniu do wierszy użyczeń. A czy nie powinien Pan stosować takiej prostoty, jak w wierszu „Jan-ko Muzykant”?

patrz jak umiera wierzba pęka na pol rozdarła smutnym tonem skrzypiec jej dusza w bolesnym skurczu zanoszą smutek niebu patrz jak umiera niebo pęka na pol

rozdarła smutną właściciel wierzby Jan-ko Muzykant bosko koncertuje gwiazdom

Stawian T. Złotoryja. Coż to, Panie Sławomirze, postępuje Pan jak niektórzy piosenkarze? Także niekiedy zmieniają nazwiska, imiona, przymyślali pseudonimy i zdarzało się, że pomasło Bvll na afiszach iskry nowi. Odpowiadam Panu, tak przed laty i to samo, co Mirosławowi Grzegorzowi M. Mniej niech Pan dba o osobne panicy firmowe poety, a smysłne imiona, a więcej o sama poezje, a iel tak mało w Pańskich „wierszopłodach” (tak nazywał swe wiersze Pan sam).

Hyszard P. Warszawa. Nie ma o czym mówić.

TJ



**Z**ABAWA rozkręciła się na dobre. Kawalerka z chałupy na chłodek do sadku wyszła. Ostudzić rozpalone twarze, powietrza za-czerpnąć, wysikać się jak któregoś naparło. Kilka stakanów już opróżnili, to i wesołość powszechna panuje. Przy płocie gromadą stanęli. Z przyjemności ustami śmokają, oblizują się, mlaskają. Palcami w zębach kołupią. Namlaskawszy się, naśmokawszy, papierosy wyjmują. Obowiązkowo zakurzyć trzeba.

— Ech! — mówi jeden — Zeby tak komu przyiwanić można było. Tak, nawet leciutko, tylko tyle, aby swojo siłę pokazać. Szacunku nauczyć.

— Przyiwanić można, czemu nie — zgadzają się inni. — Tylko komu? Tutejszym nie wypada.

— Jest tu kilku z Orzeszkowa — podpowiada któryś — ot, tam patrzajcie! — pokazuje.

Rychtyk prawda! Nie opodal jakiś nietutejszy stoi. Widać zdrowo podпиты, bo kołka w płocie się trzyma. Takiemu przyiwanić żadna sztuka, to tyle, co splunąć. Całą gromadą podchodzą, ze wszystkich stron obępując obcego.

— To tobie przyszła ochota na paszkowskie panienki. A? — pytają zaczepnie.

Nietutejszy nie wygląda na bojącego. Kołka się puścił. Kurzy sobie. Na to wychodzi, że w świecie obyty, bo papieroska, elegancko, w dwóch palcach trzyma. Choć tak na oko, to taki jakiś nierozgarnięty.

— Rzucił ja pastuszenie i na budowie teraz w Nurcu pracuje — mówi spokojnie — Wy, chłopcy, ze mną zaczepki nie szukajcie — rądzi — Wy chyba nie wiecie, jaki ja ważny?

— Nu niby co za jeden? — pytają

— Ot, niedalej jak wczoraj mój majster mówi — czy wiesz Franiu, że z ciebie urzędniczek z biura imbecyla robio? A co to takiego, majster — pytam — Wygląda na to — on odpowiada — że ciebie na wysokie inżynierskie stanowisko szykują. Powiadają, że z samej góry nakaz przyszedł, żeby czarnoroboczych ludowego pochodzenia na wysokich stanowiskach stawiać na nie nie zważając — gramotny, niegramotny, koślawy, zezowaty... Ty na ten przykład Franiu, zwyczajny tuman, a jednakże zauważyli ciebie. Tam, na gorze pomysłili sobie: „Po prawdzie ten Hawruszko to przyglup, że drugiego takiego w całej gminie nie znajdziesz, ale z oczu to jemu dobrze patrzy. Dajmy Franiowi inżynierskie stanowisko. Niech sobie w kantorku za biurkiem siedzi, herbatę pije, rozkazy wydaje”. Po tej rozmowie z majstrem długo ja do siebie przyjsić nie mogł. Zeby ochłonąć, dobre pół wiadra wody wypil. Od różnych myśli aż głowa moja spuchła — Znaczy się imbecylem robio! — ręce ja z uciechy zacierał. Pewnie przyuważyli że ja sprytny!

Na to wychodzi, że ważną szyszko zostanie. Na kartce zapisał nazwę tego inżynierskiego stanowiska. Nazwa trudna, to i stanowisko jakieś wysokie. Na pamięć się jej nauczył, żeby wiedzieć, co ja za jeden. Ot, sami widzicie, z kim zaczepki chcieli szukać — zakończył.

— A kto tam wie, że ty nie łgasz bratku! Legitymację pokaż, że z ciebie naprawdę cymbał, czy jak to ty tam nazwał!

— Legitymacji to ja jeszcze nie mam. Nu, niedługo wszystko mieć będę. Piwo zafunduję, to dobre posady wam pozalatiwam.

Kawalerka trochę zbita z pantofelku. Widać, że to nie pierwszy lepszy. Mówi że ważny. Posady chce zlatwić. Z zakłopotaniem z nogi na nogę przestępują. Głupio jakoś.

— Wiecie co, chłopaki! — odezwał się jeden — Lepiej jego nie zaczepiać. Jak on cymbał to pewnie pod specjalną rządową opieką się znajduje. Weź takiemu daj weiry, dajmy na to złam rączkę, niby drobnotoska, a beknąć porządnie można. Nu, i robote przyobiecujcie.

— A majstrem to ty mógłby zrobić? — pytają z ciekawością.

— Pewnie, że mógłby! Chcesz posade majstra albo kierownika, pro-sze, wybieraj sobie. Dobra to posada, bratku! Chodzisz sobie tylko i rozkazujesz. Piwa tobie ze spółdzielni przyniosę, herbatę trzy razy na dzień pijesz. Wystarczy, że będąc na budowie w Nurcu o Hawruszke Franka spytać. A ja już wszystko zlatwię. Tak to, a tak, komu trzeba nakaże i już posade macie. Tylko o podarunku dla mnie nie zapomnijcie. Sami rozumiecie, że bez podarunku do przelozonego przychodźcie nie wypada.

Wybrali się w kilku do Nurca. Na przyobiecanej posadę ochoty nabrałi. Po budowie się kręcą i o inżyniera Hawruszke pytają. Nikt jednakże takiego nie zna. Z niezłym wracając, jeszcze raz przy wyjściu o inżyniera zagadnęli. Zapytany zdjął czapkę, po głowie się poczuhrzał.

— Takiego inżyniera to tu nie ma i nie było — powiedział — Jest tu jeden taki głupkowaty, co, zdaje się, Hawruszko się nazywa. Ot, tam wapno miesi — pokazał palcem.

Podeszli do Hawruszki. Ten, przybrany w wysmolony drellich, zapalczywie wapno miesił. Udawał, że ich nie widzi.

— Dzień dobry inżynierowi! — witają grzecznie — Oj, naszukali my się inżyniera, naszukali, aż przy tym wapnie nareszcie znaleźli.

— Nu, tak — Hawruszko trochę zmieszany. — Tymczasowo ja przy wapnie robie. Do tej pory ze stanowiska nic nie wyszło. Nie bijcie mnie, chłopaki, ot siadźcie sobie wygodnie na tych pustakach, to wam wszystko akuratnie wytłumaczę.

Rozsiedli się i z ciekawością czekają, co im też Hawruszko powie. Uśmiechają się pod nosem, pod bokami się szturchają. Chyba jakąś fajną komedię Hawruszko zaraz odstawi. Wiedzą już, że na zabawie durnoty im wygadawał. Nu, złość ich całkiem odeszła. Jeśli on pomyłony, to jemu darować przecie trzeba. Hawruszko papierosa zakurzył.

— Nu, tak — zaczął — z cztery dobre dni ja czekał na urzędowe pismo. Nadaremnie jednakże. W końcu cierpliwość stracił. Osobiście do biura ja poszedł. W drzwi nawet nie pukam, czapki nie zdejmuję, w obłożonych gumniakach do pokoju się tarabanie. — Tak, jak przyobiecali, imbecylem mnie róbicie! Pismo urzędowe dawajcie! — mówię hardo. Widać groźnie ja wyglądał, bo urzędniczeki jakieś przestraszone. Ichnia kierowniczką też wylekniona. A — któż to z pana imbecyla robio? — wypiera się w żywe oczy — Jak to kto? — ja na to. — Majster osobiście mnie powiadomił, że urzędniczeki z biura imbecylem mnie robio. Cztery dni już czekam i nic. Obiecali zrobić, a nie robio. Tak i przyszedł ja o swoje się dopomnieć! Widać, że przemówił ja im do rozumu, bo kierowniczką uśmiechnęła się i mówi grzecznie — Panie Hawruszko, toż pan pisanie przecie porządnie nie umie, a imbecylem od razu ehełaby zostać. Wpierw do szkół pana posłamy, tam kaligrafować nau-czo. Potem to, być może, że nawet imbecylem zrobio, jak się pan starać będzie. Póki co, dalej pan wapno mieszać.

Chłopy się śmieją.

— Oj, Hawruszko, Hawruszko, kaka pociecha z ciebie! Znaczy się, ty posady nie dasz? Zauj, bo my z podarkiem przyszli.

## KSIĘGA LASS. KOPERTY.

(Przesłanie: Rzęsa oparta o rzęś tysięcy przewłoczeń może przekreślić wody, nieowazkość ciał, samotny policzek, ale nigdy łódź posypaną śniegiem).

I  
Niebo przesuwca dzień. Być może  
Pada deszcz. Jej ciało jest dwa  
Kroki przede mną. Sen za sen.

II  
Słodkie włosy. Spod tego samego  
Kwiatu. Zapach języka: Widzieć cię,  
Isć, kochać. Mówić twoim głosem.

III  
Słońce weszło daleko stąd. Nie  
Oddychamy tak jak wszyscy.  
Pierścienek i kolczyki leżą na radiu.

IV  
Pocztówka w lustrze: „byszące usta  
Powitały mnie, gdy tropiciel ryb  
Przemierzał górski potok, migotanie dnia”

V  
Krótki śpiew. Dopóki nikt nie zapala  
Zapałki. Kłęczę. Nie muszę się oglądać.  
Światło jest niebieskie. Jak tykanie fal.

VI  
Trzecia nad ranem. Tańczymy do pierwszych  
Świateł. W morzu leży zimny piasek. Jest  
Cicho. Kochamy się chodząc tam i z powrotem.

VII  
Róża na dwie ręce. Okno na pół  
Księżyc. Palce sunące przez palce.  
I dość słów. I ląd odpychany piętami.

VIII  
Filiżanka rosę przez sto dni.  
Przestał także dzwonić telefon  
Z białej porcelany: Uwielbiam cię.

IX  
Dzień. Pałę światło: Ci, którzy  
Zasnęli, dowiadują się od tych,  
Którzy ich budzą, że jesteśmy razem.

X  
Fale nocy. Zwolniony obrót lamp  
Wyswietla nasze ciała na pękniętej  
Scianie: posypane makiem mosty.

XI  
Włosy i wołanie włosów. W szklance  
Łód. Stoliki w koronkę. Nikt nas nie  
Mija całując się. Spaliśmy cały dzień.

XII  
Koszula na statywie. Czaszka w zębach.  
Płaszcz w kapeluszu. Rysowałem cię  
Jak królową. Ja, zamek stojący we mnie.

XIII  
Filiżanka malin posypana cukrem.  
Wczoraj był dzień. Dzień i noc. Dziś  
Musimy nakarmić nasze dzieci, Lass.

(A cappella: Tu i tam, gdzie jesteś zawsze, ale nie teraz jesteś tam, bo oto nagle przybyłeś tu... Ach, prowadź mnie nie uspiąca kukulko serca, prowadź swoje balkony! Sterczące do gwiazd pocatunki umierają bez miłości ciała, tak jak wewnątrz dłoni zanika wraz z nierównością czoła, lecz nie ucisza go i nie gubi).

maj 1985 r.

## O poezji Waldemara Drasa

Janusz Olczak

**M**ŁODYCH ludzi nie dostrzega się. Ani ich poezji. Wiedziałem, że jest w Lublinie poeta Dras. Dras? Nic mi to nie mówiło. Wpierw więc dowiedziałem się o samym poecie, a potem o jego wierszach. Wziąłem tomik do ręki. Przeczytałem pierwszy wiersz. Oho, uwaga, przecież to jest poezja — zdziwiłem się, odzwyczajony od poezji w tomikach wierszy. Potem przeczytałem tytuł drugiego utworu. Nie! — powiedziałem, a wtedy nagle ktoś zadzwonił, przerywając mi lekturę. Odłożyłem książkę do następnego dnia.

Nie tylko w debiutanckim „Czatowniku” (Lublin 1978) wiodące są dwa motywy: „życie snem” i „w mroku gwiazd”, motywy zresztą wzajemnie się dopełniające. Oto kilka cytatów: „Więc głos i krok jak w snach. Więc sen ze wszystkich gwiazd”, „oczy w piekle gwiazd”, „twoim kościołem będzie sen”, „agonia przechadza się we śnie”, „czatujące pod snem zaświata przebudze-

nie”, „czarną nieba kołysze się sceną”, „dobre cienie niemych gwiazd”. Te same motywy pojawiają się w drugim tomiku „Nad stawem jasnowidzenia” (Lublin 1979). Opublikowano tu na przykład cykl nokturnów zakończony „Nokturnem śmiertelnym”. Wierszy o śmierci jest zresztą więcej. Wszystko to tworzy zamknięty krąg metafizycznych odniesień. W trzecim tomiku „Wyspa, kij” (Lublin 1982) znowu spotykamy „gwiazdę podziemia”, „noc serca”, „Góry Snu” i „Jawę przebudzonych mężczyzn”. Często tu pojawia się ptak, tylko jest to „czarny ptak z twojego snu”, „ptak nie nazwany dotąd”.

Poeta nie ukrywa swych barokowych („życie snem”) czy modernistycznych

Dokończenie na str. 9



# Dlaczego gram „tak polsko”...

Ciąg dalszy ze str. 1

sia, kiedy jako muzyk profesjonalista jeżdżę po świecie, gdy zatrzymuję się w luksusowych hotelach, gram w eleganckich salach koncertowych — to tamte młodzieńcze doświadczenia, tamte dawne znajomości, rozmowy z ludźmi, pomagają mi głębiej rozumieć, właściwie interpretować muzykę Wieniawskiego, Szymanowskiego, Karłowicza... Pytają mnie nieraz, jak to się dzieje, że gram „tak polsko”? A to właśnie te lata — często niełatwe — spędzone w Lublinie, przeżyte na wsi lubelskiej, zaowocowały zrozumieniem tej muzyki... Grywam, oczywiście, także Haendla, Bacha, Czajkowskiego, Brahmsa i ich utwory także muszę przecież jakoś swoiście, oryginalnie odtworzyć. Ale, wie pan, gdy przyjeżdżam do kraju i gram tutaj właśnie taki I Koncert Skrzypcowy Wieniawskiego, wtedy... Wtedy czuję, że mam naprawdę kontakt z Polską.

— Czy muzyka polska najbardziej panu odpowiada?

— Mnie tego nie wolno powiedzieć. Już kiedyś, w średniej szkole muzycznej przestrzegali mnie prof. Ruppel: „Jeżeli w przyszłości jakiś dziennikarz zapyta cię, jaki utwór grasz najchętniej, odpowiadaj, że ten, który właśnie wykonujesz”. To samo powtarzał mi podczas studiów profesor Herman. Oczywiście obydwu im chodziło nie o uczenie mnie kokieterii, ale o bronienie się przeciw „zaszufladkowaniu” mnie jako muzyka do jakiegoś określonego gatunku muzyki. Ale... mimo to, ja chętnie mówię, że ja bardzo chętnie gram Wieniawskiego czy Szymanowskiego.

— Na ile muzyka Wieniawskiego jest popularna w świecie?

— Wieniawskiego nie grywa się za granicą zbyt często, dlatego każde przygotowanie jego utworów wymaga od muzyka szczególnego wysiłku. W wiolinistyce jest to muzyka bardzo specyficzna i dlatego naprawdę jest niewielu na świecie wirtuozów, którzy dobrze ją wykonują. Z jednej strony jest to muzyka trudna, z drugiej — bardzo specyficzna, polska. Ten rodzaj muzyki, jaki Wieniawski wykorzystuje w swoich kompozycjach, nie jest uniwersalny skrzypcowo... Mój sukces u Herberta von Karajana, w jego światowej sławy orkiestrze berlińskich filharmoników, który odniosłem przed trzema laty grając właśnie I Koncert Skrzypcowy fis-moll Wieniawskiego, zawdzięczam także temu, że zaprezentowałem wówczas tę muzykę, której się często nie gra, a która tak bardzo „bierze”... Czy wie pan,

że koncertując za granicą miałem takie przypadki, że po koncercie przychodzili do mnie cudzoziemcy, którzy nigdy z Polską nie mieli nic wspólnego, dosłownie ze łzami w oczach, dziękując za „tę” muzykę.

Jako polski skrzypek szczególnie cenię utwory Szymanowskiego na skrzypce. Utwory, które wciąż jeszcze, niestety, zbyt mało grywa się na świecie. Grałem kilkakrotnie Koncert Skrzypcowy Szymanowskiego, m.in. w Hannoverze. I proszę sobie wyobrazić, że dla niektórych artystów była ta muzyka prawdziwym odkryciem. A wielu muzyków po prostu w ogóle tych utworów nie znało...

— Wracając do ostatniego, lubelskiego, a następnie — warszawskiego koncertu z udziałem pana i Konstantego Kulki: jaka szkoda, że nie mógł w nim uczestniczyć wasz wspólny pedagog, profesor Stefan Herman...

— Niestety, profesor zmarł kilka lat temu. Nie dożył już tego koncertu, kiedy to dwóch jego wybitnych uczniów wystąpiło w tak ważnej artystycznie



Fot. Archiwum

impresie, na tej samej estradzie. Takie przypadki zdarzają się niesłychanie rzadko; no, może raz na jakieś pięć — dziesięć lat...

— Kiedy skończył pan lubelskie liceum muzyczne, zastanawiał się pan, oczywiście, pod czym okiem kształcić się dalej. Wybór padł na Gdańsk i na osobę prof. Hermana. Czy to był wybór całkowicie świadomy?

— Tak. W tych właśnie latach Konstanty Kulka, który był jeszcze stu-

dentem u prof. Hermana, zdobył I Nagrodę Międzynarodowego Konkursu Radia i Telewizji w Monachium, stał się znany i sławny. Wierzyłem, że może i ja kiedyś, w przyszłości, jako jego uczeń... No, więc pojechałem na egzamin wstępny do Gdańska. Komisja egzaminacyjna, w której uczestniczył także prof. Herman, zdecydowała że mogę być przyjęty od razu na drugi rok...

— Czy w okresie studiów miał pan kontakt z Konstantym Kulką?

— Właściwie nie. Chociaż obydwaj byliśmy uczniami prof. Hermana, to gdy ja rozpoczynałem, Kulka studia już kończył, był na roku dyplomowym. Mimo więc, że obaj jesteśmy dyplomantami Profesora, to nigdy nie siedzieliśmy z Kulką na „wspólnej ławie”. Dzisiaj myślę, że to było dobrze; nie mogłem się jako młodszy kolega jakoś — świadomie czy podświadomie — „wzorować” na Kulce. Zresztą profesor Herman zawsze twierdził, że mi jako jego dwaj „pokazowi” studenci, jesteśmy tak bardzo różni — jako osobowości muzyczne — że też zawsze będziemy grać różnie. Prof. Herman zwierzył się kiedyś, że ceni, podziwia i wielbi u Kulki brawurową wirtuozerię, błyskotliwość, duży ton. Natomiast u mnie — ekspresyjność grania, głębię grania. Nie wyrażał tymi słowami ani krytyki ani pochwały względem każdego z nas. To było po prostu stwierdzenie faktu.

— A dzisiaj, w wiele lat po studiach, często konfrontuje pan swoją sztukę ze sztuką Konstantego Kulki?

— Jako skrzypek stale mieszkający za granicą, choć przyjeżdżający często do kraju, nie mam możliwości słuchania Kulki i on mnie — jeżdżąc wciąż po świecie — vice versa... I tak jest, niestety, często, jeśli chodzi o artystów.

— Czy z tego trybu życia, jaki pan prowadzi, ze swej pracy — jest pan zadowolony?

— W zasadzie, w pewnym sensie jestem nawet — czego mi może, jako artyście, nie wolno powiedzieć — szczęśliwy. Bo... jestem tak zapracowany. I mam tak wiele propozycji występów. Wie pan, lubię sobie nieraz ponarząkać na ciężką pracę. Ale broń Boże, żeby mi tego zabrakło!

— A konkretnie, jak wygląda to „zapracowanie”?

— No cóż, w obecnej chwili prowadzę artystycznie „potrójny” tryb życia zawodowego. Po pierwsze — jako I koncertmistrz radiowej orkiestry symfonicznej w Kolonii, jednej z pierwszych orkiestr w Europie. Po drugie — jako solista, występując regularnie, ze znanymi orkiestrami, w kraju i za granicą. Po trzecie — jako kameralista wykonuję wiele utworów muzyki kameralnej. Np., jako Primariusz Kwartetu Smyczkowego — Philharmonia Quartett w Berlinie, nagrałem sześć

płyt długogrających dla słynnych firm, m.in. dla firmy Nippon Columbia w Japonii i dla D.G.G. w Republice Federalnej Niemiec.

— Występy na koncertach?

— Mam ich dużo. Wkrótce, po występach w Warszawie, lecę np. do Bayreuth na słynny festiwal Wagnerowski, gdzie zostałem zaproszony do uczestniczenia w charakterze I koncertmistrza, pod dyrekcją tak słynnych dyrygentów, jak m.in. Jamesa Levine, kierownika artystycznego Metropolitan Opera w Nowym Jorku. We wrześniu przyjeżdżam znowu do Lublina jako juror Międzynarodowego Konkursu Młodych Skrzypków. Zagram wówczas w lubelskiej Filharmonii, a także z orkiestrą szkoły muzycznej w Lublinie, moimi młodszymi kolegami-muzykami. Zaraz potem gram jako solista w Austrii, w Salzburgu. W listopadzie — koncert Wieniawskiego w Wiesbaden. I tak dalej, i tak dalej... W tej chwili mam już nawet problemy z terminami jeśli chodzi o... październik 1986 r. Bo w październiku 1986 mam grać koncerty Czajkowskiego i Wieniawskiego w Tokio i w Seulu, a w tymże październiku, w tym samym mniej więcej czasie, mam tournée mojej orkiestry z Kolonii — po Stanach Zjednoczonych...

— Jest pan młodym, ciekawym światem człowiekiem...

— Ale niech mi pan uwierzy, nie bardzo mnie już bawi podróżowanie po świecie. Już dużo widziałem. Już, nie przesadzam, ale naprawdę, znam lepiej Tokio niż Warszawę...

— Koncerty, wyjazdy, hotele, dom w Belgii i własna rodzina... A kiedy pan przygotowuje repertuar? Ile czasu dziennie musi poświęcać skrzypek-wirtuoz na ćwiczenia, na rozwój swojej sztuki?

— Może odpowiem panu w ten sposób: w ostatnich 2—3 latach, kiedy zacząłem wykonywać wielkie, poważne koncerty, zacząłem też naprawdę dużo grać. Dużo i „z głową”. To znaczy jak już gram, jak ćwiczę, staram się o jak największą koncentrację. Tego mi kiedyś, jako studentowi, brakowało. Nie potrafiłem się dostatecznie skoncentrować. Wielu studentów potrafi grać przez wiele godzin dziennie, ćwiczycie niezwykle dużo, ale nie wszyscy potrafią się maksymalnie skoncentrować na tym, co robią.

— Wierzy pan w swoje przeznaczenie jako artysty?

— Wierzę przede wszystkim w to, że są artyści, pedagodzy, posiadający szczególne wyczucie talentu wśród swoich uczniów oraz dar przewidywania: profesor Stefan Herman np. zawsze powtarzał, że mój obaj z Kulką zrobimy wielką karierę...

Rozmawiał: Mirosław Derecki

# Trudna droga do sądu

Ciąg dalszy ze str. 1

nie, że to tylko przerwa w wykładzie, a nie egzamin.

W rozmowie z sekretarzem jednej z czterech wydziałowych komisji rekrutacyjnych, asystentem Lechem Skocznińskim, dowiaduję się, że papiery na Wydział Prawa i Administracji złożyło 567 osób, podczas gdy miejsce na obydwie kierunki jest 200. Dwie ciekawostki: wśród zdających jest jedna kandydatka, która podchodzi do egzaminu po raz... ósmy i pewien kandydat, który pracuje w zakładzie kuźnierskim i zarabia 40 tys. zł miesięcznie! A jednak pieniądze to nie wszystko!

Wracam między przyszłych studentów. Jakich pytań oczekują? Agnieszka ze Swidnika typuje czterdziestolecie Polski Ludowej, „coś” z Pomorza Gdańskiego, może reformacja; Krzysztof ze Skarżyska — drugą wojnę światową albo powojenne lata 45—47 w Polsce; dwie dziewczyny ze Staszowa i Hrubieszowa też liczą na drugą wojnę, ewentualnie na PKWN.

Za chwilę wszystkie wątpliwości zostaną rozstrzygnięte. Do sali — a takich sal jest kilka — wkraczają członkowie jednej z komisji egzaminacyjnych. Wśród nich, niosąc zalakowaną

kopertę, dziekan Wydziału Prawa i Administracji, prof. dr hab. Lech Antonowicz. Słychać szelest rozrywanego papieru...

Tematy objaśnia młodzieży dr W. Witkowski z Zakładu Historii Państwa i Prawa. Do niego kieruje później prośbę o ich krótką charakterystykę. I tak temat pierwszy: „Rola Państwa Krzyżackiego w Prusach w dziejach Polski średniowiecznej” dotyczy kwestii pozornie dobrze znanej, ale wymaga on obszernej wiedzy na temat Państwa Krzyżackiego.

Temat drugi: „Europa wobec powstania styczniowego” został przez mojego rozmówcę oceniony jako temat dla kogoś o zacięciu literackim. Bardzo interesujący wydaje się kontekst międzynarodowy powstania z 1863 roku. Jest to temat z pewnością najtrudniejszy.

I wreszcie temat trzeci: „Sprawa polska na konferencjach międzynarodowych i w układach czasu drugiej wojny światowej”. Ten z kolei, w przeciwieństwie do tematu drugiego, będzie miał największe powodzenie, choć nie pozbawiony jest pułapek. Nie można bowiem zapominać o układach Polska — Francja, Polska — Anglia, Sikorski — Stalin i to ocenianych z punktu widzenia militarnego i politycznego.

W sumie należy uznać, iż tematy preferują sumiennosc przygotowania, są dobrze dobrane chronologicznie.

Cztery godziny trwają zmagania pisemne z historią. Największym powodzeniem, zgodnie z oczekiwaniami, cieszy się temat trzeci, niewiele ustępuje mu temat pierwszy, a piszących o powstaniu styczniowym można policzyć na palcach obu rąk. Zdający są zadowoleni z tegorocznych zagadnień, ba, uważają nawet, że nie należały one do trudnych. O faktycznym stopniu trudności świadczyć będą jednak dopiero oceny z prac pisemnych, a te znane będą dopiero za trzy dni.

Następny dzień — to egzaminy testowe z języków obcych. Zgodnie z oczekiwaniami, największym powodzeniem cieszy się język rosyjski, później angielski, po nim niemiecki i na samym końcu jakże piękny, ale ponoć mało praktyczny, francuski, na który zdecydowało się zaledwie dziesięć osób. Dwie godziny przeznaczone na rozwiązywanie testów mijają bez większych emocji, a opinie na temat stopnia trudności są wcale zróżnicowane.

Dwa dni przerwy przed egzaminami ustnymi wypełnia z jednej strony intensywna nauka, z drugiej — żmudne sprawdzanie prac pisemnych i testów.

I oto pierwszy etap egzaminów wstępnych zakończony. Są już pierwsze przegrani. Z dalszej gry odpadają też ci, którzy bądź nie zgłosili się do egzaminów pisemnych, bądź też otrzymali dwie oceny niedostateczne z historii i języka. Mocno przetrzebione są szeregi tych, którzy złożyli papiery na kierunek administracyjny: odpadła prawie połowa!

Większość przystępujących do egzaminu ciągle ma jeszcze szansę, a są i tacy, którzy już prawie są studentami. Toczą się więc, głównie między rodzi-

cami, dysputy na temat punktacji, trwa żmudne liczenie, ilu już odpadło, ilu ma po jednej dwójce, kto i jakie oceny powinien dostać, by móc spokojnie jechać na wakacje.

Atmosfera gorączkowych szeptów, odchodzenie i wracanie do list. Stres potworny, większy chyba niż przed egzaminami. I nie wiem kogo mi bardziej żal: rodziców czy ich dzieci ubiegających się o indeks?

— Proszę pana, ile punktów dostaje się za czwórke?

— Słuchaj, ja albo wrozek nad tymi książkami straciłem, albo mnie nie ma na tej liście?

— Jesteś, jesteś! Masz „galke” z historii!

— Mój syn brał korepetycje, płacił mi i efekt jest jak pan widać.

— Ja też płaciłem i za przeproszeniem, szanownej pani, zamiast efektu jest gówno!

I tak dalej, i tym podobnie.

A cztery komisje rekrutacyjne, w których obok egzaminujących z historią, języka polskiego i geografii (te dwa przedmioty do wyboru) zasiadają pracownicy nauki, przedstawiciele organizacji młodzieżowych i Kuratorium Oświaty pracują pełną parą. Zapadają wyroki, od których nie ma odwołania. Zarządzenie nr 41 ministra nauki, szkolnictwa wyższego i techniki reguluje zasady, warunki przyjęć na pierwszy rok studiów dziennych i procedure egzaminacyjną. W ten sposób krystalizuje się skład pierwszego roku Wydziału Prawa i Administracji.

Trzeciego dnia egzaminów ustnych odwiedzam jedną z komisji egzaminacyjnych. Przewodniczy jej prodziekan Wydziału Prawa i Administracji, doc. dr hab. R. Kmiecik, obok niego zasiadają m. in.: doc. dr hab. T. Bojarski, dr W. Witkowski, egzaminujący z historii dr B. Tymecki mgr Z. Szubertowski, pełniący funkcję sekretarza komisji.







## OFERTA

Michał Rey

Po ukazaniu się dwóch odcinków cyklu o postaci zmarłego niedawno w Lublinie głośnego polskiego bioenergoterapeuty, Stanisława Nardellego, spotkał się z wieloma przejawami czytelniczego zainteresowania. Serdecznie za nie dziękujemy. Pisali do nas na przykład „pacjenci” Nardellego, informując o pomocy, jakiej doświadczyli. W listach tych zawarty jest duży, zrozumiały zresztą, ładunek emocjonalny i wdzięczność wobec bioenergoterapeuty. Z UMCS otrzymaliśmy z kolei informację, iż w tej uczelni obroniono rozprawę doktorską na temat nieklasycznych form leczenia, opierającą się w zasadniczej części na badaniach i na analizach socjologicznych fenomenu tzw. uzdrowiaczy, wśród nich właśnie Nardellego (i Harris). Zatelefonował do redakcji jeden z organizatorów seansów Nardellego w parafii pod wezwaniem Świętej Rodziny w dzielnicy Czuby w Lublinie, zaofiarowując nam pomoc w zbieraniu materiałów faktograficznych związanych z działalnością Stanisława Nardellego. Sami z kolei zaproponowaliśmy „udział” w powstawaniu cyklu doc. dr. hab. med. Jerzemu Karskiemu, ordynatorowi Oddziału Chirurgii Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego w Lublinie, osobie szczególnie blisko związanej ze zmarłym (o czym, notabene, znany lubelski chirurg mówił w wywiadzie dla „Sztandaru Ludu”). Podobną ofertę skierowaliśmy także do innych lekarzy lubelskich, z którymi stykał się Nardelli i którzy udzielali mu pomocy, obdarzeni wielkim zaufaniem bioenergoterapeuty. Mamy również nadzieję, że zyczliwość i pomoc w dotarciu do materiałów źródłowych okaże nam red. Aleksander Trzaska, przyjaciel i gorący propagator Stanisława Nardellego, który w dużej mierze spopularyzował jego nazwisko i działalność.

Ażeby sprawę wyczerpać, informujemy również, że odezwał się także p. Henryk Naprawa (pseudonim?), jak się przedstawił „niedowiadek wszelkiego szarlatanstwa”. Stempel na znaczku pocztowym wskazuje, że list nadano w Lublinie. „Jestem — pisze — przeciwko wszelkiej ciemnocie i cofaniu naszych umysłów w mrok średniowiecza”. Jednym wolno wierzyć w osiągnięcia Nardellego, innym nie. Dlatego list p. Naprawy przyjęliśmy z należytym szacunkiem dla przedstawionych poglądów autora chociaż potraktowalibyśmy go poważniej, gdyby na odwrocie koperty znajdował się dokładny adres nadawcy. (Red.)

**F**AKTY przetrwały Nardellego. Z jednej strony otrzymywał wiele dowodów skuteczności swego oddziaływania na ludzi chorych, z drugiej — brakowało dla nich naukowego i medycznego wytłumaczenia. W takiej sytuacji możliwe były dwie postawy. Mógł uznać się za — w pewien sposób — nawiedzonego. Taka postawa już z założenia mogła zwałniać z dociekań, o charakterze innym niż mistyczny. Była niewątpliwie subiektywnie atrakcyjniejsza, gwarantująca dobre samopoczucie. Była także możliwa inna droga. Poszukiwanie. Dochodzenie prawdy o paranormalnych dyspozycjach organizmu, w oparciu o dostępną wiedzę biologiczną, fizyczną, medyczną. Stanisław Nardelli, jako osoba mająca do czynienia w dyrektorskim życiu zawodowym z sytuacjami dającymi się określać przy pomocy realnych wyznaczników, wybrał oczywiście drugą możliwość.

Pisał: [...] w artykułach i książkach z owego okresu szukałem tylko dwóch potwierdzeń tego, co robię: że stosując bioenergoterapię mogę pomóc człowiekowi w cierpieniu i że ta dziwna, pochłaniająca mnie sprawa nie należy do trzeciorzędnych. Te drugą prawdę uświadomiłem sobie, studiując „Bioelektronikę” ks. prof. Włodzimierza Sedlaka.

Drugim autorytetem, czego Nardelli nie ukrywał, była także red. Wanda Konarzewska, propagująca i popularyzująca na przelomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych zjawiska paranormalne, w sposób rozsądny, umiarkowany i daleki od egzaltacji. W 1979 roku Stanisław Nardelli z wielkim zainteresowaniem czytał „Najstarszą terapię”, głośny artykuł Konarzewskiej zamieszczony w „Literaturze”, w którym pisała ona m.in.:

[...] Poruszamy się tutaj w ciemnościach i po omacku, w świecie domysłów i hipotez. Zadaniem nauki nie jest jednak sadzenie, ale zbieranie i wyjaśnianie faktów. A faktem dla medycyny nie jest problem, jak działa uzdrowiacz, czy działa energią, czy sprzężeniem biopola, czy też jego dotk-

nięcie jest sugestywnym bodźcem, który przedstawia informacje o procesach ustroju — i czy w ogóle działa, czy jest to jedynie psychiczna reakcja podatnej wyobraźni. Faktem dla medycyny jest to, że pacjent wyzdrowiał. A jeśli nawet okaże się, że hipotezy błędą, że jest to tylko medycyna wyobraźni — dlaczego nie miałobyśmy uprawiać jej, jeśli jest skuteczna?

Tyle — w planie ogólnym. W odniesieniu do nie tylko „nakładania rąk”. Tokowi rozumowania trudno odmówić logiki. Zresztą wystarczy przywołanie, z historii odkryć naukowych, chociażby perypetii z wyjaśnieniem zjawiska promieniotwórczości i podaniem go do analizy ilościowej, mierzeniem go. Również nie od rzeczy będzie wspomnienie tu o reakcjach opinii publicznej (w tym naukowej, na szczęście tylko części) na doniesienia naukowe Marii Skłodowskiej, dalekich — delikatnie mówiąc — od zyczliwości i zrozumienia.

Odnosząc się do rąk, jako przekaznika energii, Konarzewska pisała:

[...] Ręce, które leczą, koją ból, przynoszą ulgę cierpiącemu, w XX wieku doczekały się naukowych opracowań. Rozumienie zjawisk życia nie jest tylko biochemiczne, ale również poprzez jego cechy energetyczne, dało nam szansę wyjaśnienia starej terapii [...] Istnieją ludzie, którzy potrafią wyczuć biopole innej osoby, bezbłędnie określić np. miejsce choroby, a nawet powiedzieć, który ząb pana boli. Co więcej, ci wrażliwi ludzie mogą nie tylko wykryć chorobę, ale wielu z nich potrafi ją... leczyć.

Drugi z cytowanych fragmentów dostarczał już argumentów bardziej szczegółowych, bo wiążących się z samym przypadkiem Nardellego. Zapewne był dla niego dużym wsparciem, nazwijmy to, teoretycznym. Lecz — przyznajmy również — o umiarkowanym walorze naukowym.

Pewnym modelem teoretycznym mogła tu być również koncepcja krakowskiego biocybernetyka, dr. Ryszarda Tadeusiewicza. Otóż w 1978 roku sformułował on hipotezę, że biopole człowieka chorego ulega, pod wpływem procesu chorobowego, „uszkodzeniu”. Ulegają zmianie jego parametry fizyczne, takie jak rytm, częstotliwość, intensywność. Kontakt z bioenergoterape-



Stanisław Nardelli podczas seansu w Lublinie.

Fot. Andrzej Jasiński

rapetą może przynieść efekty w postaci korektury tych parametrów, a poprzez to uzdrowienie. Uzdrowiacz pełniłby tu rolę podobną, jak monter dostrajający telewizor.

Naturalnie „model Tadeusiewicza” mógłby być uznany za prawdziwy, gdyby było spełnionych kilka warunków. Gdyby dowiedziono, iż procesom biochemicznym w organizmie towarzyszą zjawiska energetyczne oraz że istnieje między nimi sprzężenie zwrotne: zmiana jednych powoduje zmianę drugich. Gdyby dowiedziono, że istnieją pewne stałe parametry biopola (takie jak np. stałe cechy chemiczne i biologiczne obrazu krwi), typowe dla każdego organizmu ludzkiego. Gdyby udowodniono, że możliwa jest ich korektura zewnętrzna, spoza organizmu, na przykład, przez biopole innego człowieka. Tylko, że wtedy wszystko byłoby jasne, a Stanisław Nardelli nie musiałby czynić gorączkowych poszukiwań sojuszników w wyjaśnianiu swojego fenomenu.

A sojusznicy ci byli Nardellemu bardzo potrzebni. Jednego z nich upatrywał p. Stanisław w profesorze Włodzimierzu Sedlaku, znanym autorytecie międzynarodowym w dziedzinie bioelektroniki. Jednak wsparcia tego prace lubelskiego naukowca nie dostarczały. W każdym razie, nie takiego, jakiego łyski bioenergoterapeuta oczekiwał.

W „Homo Electronicus” Sedlak pisał:

[...] Bioenergetyki nie można jeszcze traktować jako problemu już rozwiązanego na poziomie indywidualnym organizmu. Organizmy nie przebywają w izolacji, lecz żyją w zespołach. Jeśli każdy organizm jest oscylatorem elektrycznym emitującym promieniowanie elektromagnetyczne, to moc wypadkowa musi stanowić o gęstości nasycenia w biocenozach. Jest to także rezerwa energetyczna przestrzeni wypełnionej przez populację ludzką. Moc nasyciona jest wartością realną i mierzalną, wobec tego — ze stanowiska bioenergetyki — populacja jest w pomysłniejszej sytuacji niż osobnik izolowany. Środowisko przy tym nie stanowi jedynie przestrzeni, na której przebywa średnia, statystyczna liczba

osobników, lecz jest również potencjałem energetycznym generowanym przez żywe układy i przez nie odbieranym. Organizm więc może być zasilony energią zespołu, sam natomiast stanowi zasilek biologiczny o małej mocy. [...]

Odnosząc się do konkretnego interesującego nas przypadku, prof. Sedlak — explicite — twierdził:

[...] W przypadku Nardellego efekty mogą być niezborne, a interpretacja zupełnie fałszywa. Badani takich ludzi zwykle nie dochodzą do skutku. Tak było z Harrisem, zaangażowałem się, a on w przeddzień odmówił i wyjechał z Polski. Szkoda mi czasu i nie chcę się już w coś takiego angażować. Czy przypadek Nardellego może być potwierdzeniem moich teorii? Dużo ludzi pragnie się o mnie oprzeć, ale ja ścianą nie jestem. [...]

Istotnie, sceptycyzm profesora Sedlaka nie był ścianą, o którą Nardelli mógłby się wesprzeć. Być może, gdyby doszło do wspomnianych badań nad Harrisem, stosunek naukowca do Nardellego byłby inny. Mimo tego, bioenergoterapeuta darzył Włodzimierz Sedlak wielką estymą i z jego prac czerpał szeroko, o czym jeszcze napiszemy.

Szukając dowodów na to, że sprawa, której się poświęcił „nie jest trzeciorzędna”, Stanisław Nardelli próbował, istotnie, wielu sposobów zainteresowania swoimi właściwościami świata nauki i medycyny. Chwytał wszystkie nadarzające się szanse. Latem 1980 roku kierownik Kliniki Rehabilitacji Śląskiej Akademii Medycznej, doc. dr hab. med. Józef Juszek, skierował pod adresem Nardellego ofertę.

— Potrzebne panu leczenie — powiedział — a przy okazji będzie miał pan możliwość prowadzenia swoich zabiegów pod kontrolą lekarzy w klinice.

Z tego zaproszenia Stanisław Nardelli naturalnie skorzystał.

(Ciąg dalszy nastąpi)

W treści wykorzystano pozycje: Stanisław Nardelli „W kręgu biopola”, Katowice 1983; Wiesław Książek, Tomasz S. Pochron „Nardelli, człowiek ostatniej nadziei”, Chicago 1984; Zofia Mierzyńska, Leszek Guł „Nardelli w Chicago”, Chicago 1984.



## Ekran i widz

### W kręgu wampirów

**N**A tie posuchy repertuarowej oraz lamentów naszej dystrybucji, że „nie wypalił” jej as atutowy — „Superman III” (co było zresztą do przewidzenia) tym korzystniej może się jawić „Zagadka nieśmiertelności”, amerykański „horror wampiryczny”, w reżyserii debiutującego tym filmem Tony Scotta, brata Ridleya Scotta, znanego polskiej publiczności z „Pojedyńku” i „gwiazdowego” horroru — „Obcy — 8 pasażer „Nostromo”.

Rzecz dzieje się współcześnie, w jednej z wielkich zachodnich metropolii, w której możemy dopatrywać się Nowego Jorku; główną bohaterką jest piękna wampirzyca Miriam zachowująca od setek lat nie tylko nieśmiertelność, ale również młodość. A zachowuje ją m.in. dlatego, że żywi się krwią kolejnych ofiar, które zwabia do swego luksusowego domu, a następnie morduje nożem, który pamięta jeszcze czasy faraonów. Towarzystwem i kochankiem Miriam jest John Blaylock, również wampir, którego poznała w XVIII wieku.

W pewnym momencie John spostrzega z przerażeniem, że zaczyna się błyskawicznie starzeć. I to jest właśnie kluczowy moment dla całej filmowej opowieści. Dla „idei” tego filmu, w którym wątki kina science fiction przemieszane są z zasadami klasycznego horroru, gdzie doświadczenia kina „wampirycznego” wspiera silny ładunek oerwersyjnego erotyzmu.

Nie wiadomo tylko dlaczego oryginalny tytuł filmu „The Hunger” — „Głód” (oczywiście — przemożny głód krwi, jaki co pewien czas opanowuje wampiry) został przez polskiego dystrybutora zmieniony na bardziej „naukowo” pobrzmiwający — „Zagadka nieśmiertelności”. Żeby potem krytykom filmowym łatwiej było doszukiwać się szczególnych głębi u Scotta i pisać uczenie (?): „[...] Drugim elementem [filmu] jest dekadentyzm, także potraktowany wielowymiarowo. Więć dekadentyzm jako fizyczny rozpad ludzi i przedmiotów, także jako rozpad pewnego modelu życiowego, jako wyraz chwiejności, niestabilności życiowych programów. Oczywiście, ten dekadentyzm nie ma wymiaru krytyki społecznej, ale ma wymiar krytyki egzystencji ludzkiej w sferze instynktów i pragnień [...]”.

Podziwiam mimo wszystko, że Tony Scott miał po prostu zamiar zrobić atrakcyjny dla przeciętnego widza, kasowy film. Film z pogranicza kilku popularnych gatunków. Taki film, który podejmując trochę już przytłoczoną tematykę, miałby szansę uniknięcia niepowodzeń kasowych, jakie spotkały piękną poetycką „powtórkę”, dzieła Friedricha Murnau z 1922 r. — zrealizowany przed sześciu laty przez Wernera Herzoga film „Nosferatu — wampir” z udziałem Klausa Kinsky’ego i Isabelle Adjani.

U nas „Zagadka nieśmiertelności” cieszy się (pomijając już sprawę głodu... repertuarowego dręczącego naszą publiczność) — zainteresowaniem tym większym, że drugorzędne — ale pod względem „konfekcyjnym” doskonale robione kino zachodnie (te wszystkie „mroźne krew w żyłach” opowieści o duchach, wampirach, żyjących nieboszczykach itp.) jest nam prawie zupełnie nieznane. Brakuje nam filmów ambitnych, dobrych. Ale — o paradoksie! — odczuwamy także nie-

dosyć kina „nie dobrego”. Takiego, od którego tak zwany „wyrobiony widz” w krajach o potężnym rynku filmowym odwraca się z niesmakiem. Lecz do jakiego w każdej chwili może wstać, gdy odczuje potrzebę spełnienia swych „atawistycznych” upodobań, chęć poddania się magii baśniowej „latarni czarnoksiężskiej”, jaką było u swych początków i jaką pozostało po dzień dzisiejszy — kino.

Wampiryzm zawsze był wdzięcznym tematem dla literatury. Fascynował czytelnika swą niesamowitością, tajemniczością i perversyjnością o podkładzie erotycznym. Ale również — wychodził naprzeciw wiecznym marzeniom człowieka o zachowaniu nieśmiertelności i młodości. Za wszelką cenę. Kino szybko dostrzegło w tego rodzaju tematyce wyjątkową wprost dla siebie szansę. Ruchomy, czarno-biały, „widmowy” obraz rzucany na ekran w ciemnej, dusznej sali, atmosfera swoistego, młoczącego misterium w jakie przekształcał się każdy scen, zwiększały niepomniernie uczucie grozy i niesamowitości w porównaniu z tym, co mogła dać książka. Czytana nawet o północy, przy pełzającym złowieszczym po ścianach blasku świecy... Wywalek tricków filmowych oraz montażu dawały reżyserowi nieograniczone możliwości oddziaływania na wzrok i psychikę widza... Czyż można się dziwić, że wszelkiego rodzaju horrory, filmy strachu itp. święciły swój triumf?

W 1915 r. niebywałym powodzeniem cieszył się serial filmowy francuskiego reżysera Louisa Feuillade (twórcy wcześniejszej serii o Fantomasie) zatytułowanym „Wampiry”. W 1922 r. pobliż świat swoją niesamowitą opowieścią o wampirze „Nosferatu” niemiecki reżyser Friedrich Wilhelm Murnau. W 1931 r. — u początków kina dźwiękowego — furorę w kinach całego świata zrobił „Książę Dracula” amerykańskiego reżysera Todda Brownina, niedysyjszego cyrkowca, aktora, a potem asystenta wielkiego Griffitha. Duński reżyser Carl T. Dreyer — twórca jednego z arcydzieł filmu niemeo — „Męczeństwo Joanny d’Arc”, poniósł finansową klęskę po nakręceniu w 1932 r. swego dźwiękowego „Wampira”...

Ale to nie koniec: pamięć o „klasykach” tego gatunku, o „Nosferatu”, o „Draculi” jest wśród widzów tak powszechna, tematyka — tak mocno oddziaływająca na wyobraźnię twórców z następnymi pokoleniami, że wampiry powracają po latach znów na ekrany. Kręcą filmy o wampirach twórcy tużkini, trzeciorzędni, ale sięgają po tę tematykę także reżyserzy najwyższej miary. Jedni, jak Roman Polański w 1967 r. („Nieustraszeni zabójcy wampirów”), nadają im kształt makabrycznej groteski, inni — wspomniany już Werner Herzog — przepełniają temat nutą poezji i nostalgii. (Wampir Herzoga zakochuje się w pięknej dziewczynie i umiera z miłości). Nawet Andy Warhol, czołowy przedstawiciel pop-artu, ojciec „kina podziemnego”, eksperymentując m.in. w dziedzinie kina trójwymiarowego, kręcił film „Dracula”...

Wreszcie — Tony Scott. Jego „Zagadka nieśmiertelności” odznacza się zręcznym profesjonalizmem, wysoką kulturą operatorską oraz... obecnością Catherine Deneuve, dawnej aktorki Polańskiego i Bunuela, która odtwarza tutaj rolę Miriam. Obok niej — znany piosenkarz rockowy David Bowie jako kochanek-wampir John Blaylock oraz atrakcyjna Susan Sarandon — młoda lekarka badająca procesy starzenia się, Sarah Roberts, którą uwdził skutecznie wampirzyca Miriam.

„Zagadkę nieśmiertelności” okrzyczano swego czasu w Cannes jako „pierwszy film grozy nowej fali”. Ale — piszący ten felieton skłaniałby się raczej do przyznania racji tym, którzy określają dzieło Scotta mianem „wariacji na temat wampiryzmu”. Oraz — zdając sobie sprawę, że i tak wszyscy pójdą na film — zły on czy doarty — przestrzegalbym, w każdym razie, przed braniem go zbyt serio.

M.D.

## PSYCHOLOG RADZI

### Nie uciekać od rozmów

**M**IŁOSC między dziewczyną i chłopakiem nie zaczyna się od słów. Może to być zachwyt, uwielbienie, jakie zainteresowanie wyrażone bez słów. Zakochani lubią spędzać czas ze sobą. Każdą wolną chwilę chcą być razem. Ci, którzy nie byli zakochani, lub już zapomnieli o tych uczuciach, dziwią się i nie mogą zrozumieć, o czym oni tyle rozmawiają. Ale oni nie rozmawiają wiele. Często milczą. Wspólnym spędzaniem wolnej chwili wyrażają, że jest im ze sobą dobrze, że chcą należeć do siebie.

W okresie „chodzenia ze sobą” partnerzy są nastawieni na zdobywanie siebie. Chcą sobie wzajemnie imponować. Jest to dobry czas dla wspólnego budowania więzi, dążenia do zrozumienia poprzez szczere i otwarte rozmowy. Ale w tym okresie nie jest także łatwe otwieranie się. W przeżyciach narzeczonych na pierwszy plan wysuwa się silne uczucie, które nadaje życiu wiele barw, rodzi poczucie szczęścia, zadowolenia oraz silne przekonanie o zgodności poglądów i upodobań między partnerami. W rzeczywistości zakochani często przeceniają zgodność swoich poglądów i wzajemnego zrozumienia. Może to wynika z tego, że w tym okresie narzeczoni przede wszystkim przeżywają zafascynowanie sobą, mniej rozmawiają i nie muszą jeszcze współdziałać?

Dlaczego narzeczoni nie rozmawiają o wielu istotnych sprawach, ważnych dla ich przyszłego wspólnego życia? Niektóre sprawy wydają się im jeszcze zbyt odległe i nieaktualne. Czasem lęk przed odejściem i utratą partnera hamuje podjęcie niektórych tematów. Istnieje również u narzeczonych nieświadoma tendencja, by w swoich myślach pielęgnować wyniesiony z dzieciństwa idealny obraz partnera swojego życia.

Szczera rozmowa mogłaby dać początek do namalowania nowego realnego obrazu. Bez lukru. Jeśli partnerzy zdołają pokonać swe lęki, otworzą się przed sobą nawzajem, mają szansę stworzenia więzi już przed ślubem. Ślub będzie dla nich nie tylko kawałkiem uroczystości, ale czymś, co umocni jeszcze ich więź i wyznaczy dalszą drogę wspólnego rozwoju.

Kiedy małżonkowie rozpoczynają wspólne życie z przekonaniem, iż poprzez ślub wszystko załatwili, gdyż należą już do siebie, może to być początkiem ich powolnego i stopniowego oddalania się od siebie. Nawet najbliższy kontakt, nawiązany w narzeczeństwie, nie wystarczy na całe życie, ale musi być on przez małżonków ustawicznie podtrzymywany i pielęgnowany przez wspólną rozmowę. Oni muszą mieć również czas dla siebie na spokojną wspólną rozmowę. Niezmiernie ważną sprawą jest, by małżonkowie umieli rozmawiać zarówno o przyjemnych wydarzeniach, o swoich zaletach, osiągnięciach, jak też o tym, co jest przykre i trudne w ich wspólnym życiu. Taka otwarta i szczerza rozmowa na wszystkie tematy zapobiega gromadzeniu się i narastaniu negatywnych uczuć, które z czasem mogą się przerodzić w niewidzialny mur, uniemożliwiający życie ze sobą. Na ogół bardziej cenimy umiejętność mówienia, wysławiania się niż słuchania. Umiejętność słuchania bywa raczej niedoceniana. Tymczasem o satysfakcjonującej rozmowie w układzie partnerskim decyduje zarówno umiejętność mówienia jak i słuchania.

Małżonkowie, którzy nie rozmawiają o swoich potrzebach, oczekiwaniach, życzeniach, obdarowują się tym, czego wcale nie potrzebują partner. Dziwią się wtedy i nie potrafią zrozumieć, że tak wiele się starają, tak dużo dają z siebie, a ich wysiłki są ani dostrzegane, ani doceniane. Przypominam tu sobie pewną anegdotkę: Żona przez wiele lat gotowała swemu mężowi pierogi. Ale kiedyś mąż zdenerwował się i wykrztusił z siebie: „Już dość mam tych pierogów”. Żona szeroko otworzyła oczy i zdziwiona powiedziała: „Ja też nie przepadałam za nimi, ale robiłam je ze względu na ciebie!”.

Bez szczerzej rozmowy małżonków nie umiem sobie wyobrazić udanego i szczęśliwego małżeństwa. Niezadowolenie może dotyczyć jednak bardziej istotnych spraw.

Często małżonkowie w pewnym momencie wspólnego życia spostrzegają niewidzialny mur trudny do przebycia. Być może, narastał on niepostrzeżenie na skutek odkładania różnych niezalatwionych spraw. Czasem już sami nie są w stanie zburzyć go. Może ostatnim ratunkiem dla nich mogłaby być wizyta w Specjalistycznej Poradni Małżeńskiej i Rodzinnej Polskiego Towarzystwa Psychologicznego, gdzie mogliby uzyskać pomoc psychologiczną? Lecz powstaje pytanie, czy zdołają się na ten odważny, niekonwencjonalny krok? Problem tkwi również w tym, że wizyta u psychologa ciągle nie jest jeszcze u nas sprawą zbyt popularną. Pierwsze wizyty bywają połączone ze skradaniem się, zażenowaniem, napięciem.

Ludzie, przeżywający głębokie konflikty rodzinne, zamieniając je na dolegliwości psychosomatyczne, zwykle szukają pomocy u lekarza. W takich sytuacjach ludzie oczekują od lekarza skutecznej tabletki, która sprawi, że spokojnie i bez zdenerwowania będą przeżywać to wszystko, co dzieje się w ich rodzinie. Wtedy każdy członek rodziny leczy się u innego specjalisty. Moczące się dziecko prowadzi matka do pediatry, sama leczy „chore nerwy” u neurologa, a męża nakłania do rozpoczęcia leczenia w poradni antyalkoholowej. Jednak po pewnym czasie, po zażyciu wielu leków, pacjenci sami uświadamiają sobie powoli, że nie udaje się im przygłaskać ich rodzinnego problemu poprzez przyjmowanie jedynie tabletek. Powoli dojrzeją w nich potrzeba przemyślenia swojej sytuacji rodzinnej i potrzeba zmiany. Ale mur niechęci i urazów też pogrubiał. Małżonków przestaje cokolwiek łączyć poza wspólnym mieszkaniem. Tak też powoli dojrzeją sprawa do wniesienia do sądu. Odnoszę wrażenie jakby dla wielu droga do sądu była łatwiejsza niż do poradni małżeńskej. A może też dlatego, że dotychczas nie było tej drugiej możliwości? Czekam na listy od Czytelników!

Józef Szopiński

#### NOTA O AUTORZE

Dr Józef Szopiński jest zatrudniony na etacie psychologa w Wojewódzkim Szpitalu Zespolonym w Lublinie. Ponadto kieruje pracami Specjalistycznej Poradni Małżeńskej i Rodzinnej Polskiego Towarzystwa Psychologicznego. Główne formy działalności poradni to psychoprofilaktyka na rzecz zdrowego funkcjonowania rodziny, poradnictwo, psychoterapia. Jedną z form działalności psychoprofilaktycznej jest Szkoła Młodych Rodziców — kursy od początku ślubnego miesiąca aż do telefonu: 715-407 (poniedziałek — piątek, godz. 15-20). Na polecenie Wydziału Zdrowia opracował program wczesnego odstawiania i leczenia nerwicy oraz zaburzeń o podłożu psychosomatycznym. Publikuje na temat więzi małżeńskich, sposobów komunikowania się w „Problemach Rodziny”, „Gazecie Rodzinnej”, „Psychoterapii” oraz w czasopiśmie zagranicznych, „Zonaty”, ma troje dzieci.

## OGŁOSZENIA DROBNE

LSM, 4-pokojowe, własnościowe sprzedam, ewentualnie zamienię na mniejsze. — Warszawa lub okolice. Oferty: 20091 Biuro Ogłoszeń, Lublin, Rybna 13.

20091/G

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopicowski (z-ca redaktora naczelnego), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Bocian, Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Lidia Wójcik, Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban.  
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamierzonych i zastrzega sobie prawo skrótoów w sprawach literackich orzwywało interesantów kierownik działu w olatki w  
zod: 14-18.  
Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa-Książka-Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 5, tel. 255-30.  
Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie ul. Unicka 4. Adres redakcji: 20-025 Lublin ul. Skłodowskiej 271.  
Telefony: sekretariat: redaktor naczelny, z-ca redaktora naczelnego: 755-93 sekretarz redakcji 718-93 dział publicystyki i literacki 715-35.  
Korespondencje proszę kierować pod adresem: 20-038 Lublin skrzynka pocztowa 231, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.  
Zam. 1389/83, 1983-07-24, 1-4.





— Drobiazg! Po prostu szyba się zacięła. O, widać pan, tylko do tego miejsca mogę ją podciągnąć.  
 — Redaktor Murzał zademonstrował defekt.  
 — Faktycznie że drobiazg, ale tak samochodu nie może pan zostawiać.  
 — Zwłaszcza na noc. Ostatnio na naszym osiedlu ukradli dwa fiaty, duży i mały. Chcemy zorganizować dyżury, ale z ludźmi trudno się dogadać.  
 — Jeden do Sasa, drugi do lasa — uśmiechnął się Leon.  
 — Wieczorem to jeszcze, ale najgorzej z tymi godzinami po północy. Nikomu nie chce się przerywać snu... Nareperuje mi pan od ręki? Placę za ekspres!  
 — Finanse to już nie ja, ale pan Waclaw.  
 — Pochwałę wasz warsztat w gazecie!  
 — Panie redaktorze, my się i tak nie możemy opędzić od roboty! Pan pochwali i zaraz zainteresuje się nami Urząd Finansowy.  
 — Przed warszatem pojawił się Waclaw, który sły-  
 szął ostatni fragment rozmowy.  
 — Niech pana Bóg broni redaktorze, cokolwiek o nas napisać! Ciszzej jedziesz dalej zajedziesz, zna pan to powiedzonko? Napraw, Leon, a ja się zapytam redaktora, co słycać w eleganckim świecie?  
 — Pan chyba lepiej wie ode mnie!  
 — Ja interesuję się tylko sportem. Mówią, że nam się Motor rozpieprza. Ponoć Iwanicki chce uciekać. Bez króla strzelców to Motor będzie czerwona latarnią w lidze. Szkoda, że nie stał uje w Intertoto, może by podłapał 15 tysięcy anków szwajcarskich?  
 — W duchy pan wierzy, panie Waclawie? Ale Iwanicki na pewno zostanie.  
 — Za zielone lepiej się gra niż za koperniki i szopeny. Rozpuściliśmy chłopaków. Każdy z nich marzy o karierze Bońka. Chociaż Boniek przyjeżdża wspomagać naszych w czasie ważnych me-

czów międzynarodowych. Chce się załapać do Meksyku. Też bym chętnie pojechał!  
 — To takie trudne? Dla pana, panie Waclawie? — Murzał zarechotał jak żaba.  
 — Niech pan wszystkich nie sądzi według siebie, panie redaktorze!  
 — Według siebie? Mistrzu, mnie to mogą co najwyżej wysłać na mecz Górnik i to nawet nie na Śląsk, ale do Łęcznej! Zresztą ja o piłce nie piszę, mamy innych speców.  
 — Wiem, wiem. Waligórze ciągle mieli za złe, kiedy trenował Motor, a on trafił do Widzewa.  
 — A Cmikiewicz, uważa pan, był zły?  
 — Też go nie ma. Na naszych zawodników, moim zdaniem, potrzebny jest taki trener, jak Wagner. Za pysk trzeba trzymać! Kto wypije, temu ze trzy kijki, albo i więcej.  
 — Zapalili ekstra mocne. Tymczasem Leon uporał się już z szybą.  
 — Może pan jechać — powiedział.  
 — Co jestem dłużny, panie Waclawie?  
 — Zrobił panu na podwórku, nie wjeżdżał na kanał więc już półtorej setki odpada. Daj pan dwieście na dobry początek po niedzieli.  
 — Jestem panom bardzo wdzięczny — Murzał wyciągnął z portfela dwa czerwone banknoty. — Panie inżynierze, niech pan pozdrowi żonę.  
 — „Już ja tę zarazę pozdrowię!” — pomyślał Leon, ale wykrztusił:  
 — Dziękuję!  
 — A co on tak się troszczy o twoją połowicę? — zapytał Waclaw, kiedy wóz Murzala zniknął za zakrętem.  
 — Stare dzieje!  
 — Uważaj, chłopie, redaktory to psy na baby. Popicuje trochę popicuje i już ją ma na patelni!  
 — To ty uważaj, aby nie poznał twojej Marysil!  
 — Jeszcze bym postawił, gdyby mu w oko wpadła. Patrz jak mi wczoraj lapsko podrapała i za co? że trochę oóźniej wróciłem z meczu? Zawsze cierpię za niewinność. Będę musiał coś zakosić. Wtedy przynajmniej będę wiedział za co ona skacze do mnie z pazurami. Zgaga, ja ci mówię, że to zgaga, jakich mało!  
 — Kocha ciębie!  
 — Pies z nią tańcował!

III.

Halina, szwagierka Leona, siedziała przy stoliku w „Titp-Topie” i wolno sączyła kawę. Od czasu do czasu rzuciła okiem na zegarek. Było już dwadzieścia minut po dwunastej, o te dwadzieścia minut spóźnił się już Rysiek. Kiedy minęło następnych dziesięć zaczęła regulować rachunek i właśnie w momencie, gdy płaciła kelnerce, zjawił się mocno zziębnięty.  
 — Przepraszam, nie mogłem złapać taksówki, a

wiesz, jak u nas jest z komunikacją. Autobusy jeżdżą stadami.  
 — Trzeba było to przewidzieć. Urwałam się z zajęć.  
 — No dobra, w przyszłości postaram się już tak nie nawalać. Wypijesz jeszcze kawę?  
 — Mam dosyć. Ale możesz mi zamówić jakieś ciastko i herbatę.  
 — Nim stolik znów się zapełnił, Halina opowiedziała Ryskowi o wczorajszej awanturze z Leonem.  
 — Tak dalej być nie może — tzy jej napłynęły do oczu — On się nade mną zęca, ja mu zawadzam, chciałby mnie trzymać pod kluczem, on nie może zrozumieć, że ja mam normalne życie.  
 — Może jest o ciebie po prostu zazdrosny?  
 — Nie bądź wariat!  
 — A mówilem ci, abyś u mnie została na noc...  
 — Głupio by mi było... Ale on i tak się domyśla, że mam kogoś. A gdyby wiedział, że ten ktoś to trzydziestoletni rozwodnik, życia bym nie miała. Moja siostra też by mi kolki na głowie ciosała.  
 — Różnie się ludziom w życiu układa. Najważniejsze, że nam jest dobrze. Kocham cię — Ryszard ujął Halinę za rękę.  
 — Ty tylko tak mówisz, a ja ci wierzę jak idiotka. Słuchaj, boję się. Już powinnam mieć ciotkę.  
 — Już to znaczy kiedy? Ja przecież uważałem... — Ryszard wyprostował się nagle.  
 — Nie wiem, to ty, a nie ja, masz większe doświadczenia. Ale z nikim innym tych rzeczy nie robię.  
 — No, ale powiedz wreszcie, ile ci się opóźniła?  
 — Trzy dni, ale zawsze miałam regularnie.  
 — Byłaś trochę przeziębiona, a może źle liczysz?

— Liczyć to ja umiem dobrze. Ale dlaczego tak się zdenerwowałaś? Ja jestem wolna i ty jesteś wolny — Teraz Halina pogłaskała rękę Ryszarda. — Gdyby więc...  
 — Przystań tak gadać, jeszcze nam kłopot potrzebny! Przecież ty studiujesz. Masz pojęcie, co znaczy dziecko?  
 — Ja może nie, ale ty na pewno. Tej dwójki się nie wyprzesz. Słuchaj, Rysiek, dlaczego ty się właściwie rozwiodłeś? Nigdy mi na ten temat nie mówiłeś.  
 — Bo nie byłaś ciekawa.  
 — Nie chcę wchodzić z butami, ale gdy sobie czasami pomyślę, że ty jesteś lekkoduch, to mnie ciarki przechodzą. Zawsze mi się podobali starsi, z moimi rówieśnikami nie mam o czym rozmawiać. Oni są tacy zieloni! No, ale powiedz, co byś zrobił, gdybyś rzeczywiście była w ciąży? Co byś myśli? — poprawiła się.

(cdn.)

Archiwum mistrzów anegdoty

Duclos powiedział kiedyś w salonie:  
 — Nikt tak nie potrafi udawać świętoszka jak właśnie kobieta, mająca szczególną nieprawdę w duszy! Im mniej kto posiada onó, tym bardziej ogranicza się w swobodzie słowa.

Przy kolejnej, coraz pikantniejszej, wstrzymuje go pani domu, de Roquoefort, mówiąc:  
 — Ostrożnie, Duclos, pan nas ma już za bardzo uczelwe!

Po takim wstępie Duclos zaczął sypać nieprzyzwoitymi opowiadkami, jedną po dru-

Wiedeński dyrektor teatru, Zygfryd Geyer, spotkał na ulicy wpływowego krytyka.

— Gniewam się na pana! — wykrzyknął — Czy musiał pan koniecznie pisać, że teatr był w połowie pustki?  
 — Ależ, panie dyrektorze, napisałem tylko prawdę!  
 — Na co Geyer:  
 — A czy nie mógł pan napisać: „Teatr był do połowy zapełniony?”

Do lekarza chorób nerwowych w Londynie zgłosił się pacjent ze skargą, że nie potrafi go rozzerwać.  
 — Doprawdy? — powiedział doktor — a czy był pan w londyńskim cyrku, gdzie występuje sławny kłown, który każdego potrafi rozśmieszyć do łez?

— Niestety, doktorze — odpowiedział pacjent — to ja jestem tym sławnym kłownem.

Francuski malarz Poussin wystawił swego czasu cykl obrazów zatytułowany „Siedem sakramentów”. Surowy krytyk najbardziej zgnił „Zieleń pi. Malceństwo”.

— Sami widzicie — stwierdził Poussin do przyjaciel — malceństwo nawet namalowane nie udaje się!

Wyszperał: Ryszard Dunin

Krzyżówka nr 16 — szyfrogram literacki

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać fragment tekstu. Ostatnie litery 19 początkowych wyrazów pomocniczych utworzą imię i nazwisko autora oraz tytuł utworu, z którego pochodzi cytowany fragment. Czarne kratki w diagramie odpowiadają przerwom między wyrazami.

Wyrazy pomocnicze

- tygodnik ilustrowany — 124. 92. 165. 12. 107. 4. 24. 34.
- utworzyły je słowa — 129. 145. 180. 158. 101. 50.
- technik z wyższym wykształceniem — 172. 143. 7. 85. 17. 49. 95. 36.
- na szyi — 103. 78. 9. 98. 60. 19. 125. 36.
- polskie góry — 87. 150. 121. 161. 11. 21. 37.
- w łecze ucznia — 106. 147. 163. 83. 5. 18. 134.
- odpad drewniany — 152. 16. 65. 104.
- import — 137. 13. 126. 191. 160. 122. 14.
- sznurowane pantofle — 179. 140. 44. 123. 45. 53. 6.
- wykaz, zestawienie — 182. 119. 174. 46.
- jar — 171. 170. 186. 159. 47.
- szyk, elegancja — 23. 88. 193. 64. 94. 38. 40.
- posag — 184. 81. 86. 110. 41.
- miesiąc — 112. 89. 2. 82. 190. 30. 72. 181.
- herb — 15. 136. 25. 79. 189.
- nasada dłoni — 32. 149. 84. 61. 73. 109. 167.
- część książki — 156. 22. 58. 70. 142. 42. 28. 130.
- małe krowy — 26. 97. 91. 176. 168.
- wojskowa pensja — 77. 51. 135. 169.
- odgłos biegnących koni — 183. 99. 71. 155. 117. 55.
- lustrzane podobieństwo — 31. 166. 151. 3. 139. 164. 90. 3.
- rzyszowski dziennik — 29. 33. 1. 111. 93. 131.
- restauracja, odbudowa — 8. 62. 59. 69. 141. 194.
- sucha trawa — 43. 102. 20. 80. 63.
- naprzeciw Gibraltaru — 57. 153. 178. 115. 157.
- metoda — 118. 127. 173. 154. 187. 146.
- wielkie morze — 185. 192. 175. 39. 10.
- chęć — 120. 67. 133. 105. 162. 113.
- wartość sprzedażna — 132. 116. 48. 54.
- familijna epopeja — 128. 144. 96. 68.
- nocny płak — 52. 138. 114. 148.
- decyduje o szerokości spodni — 75. 74. 66. 108.
- CWKS — 100. 56. 188. 177. 76.

	1	2	3	4	5	6		7	8	9	10	11	12	13	14		
15	16	17	18	19		20		21	22	23	24	25	26	27		28	29
30		31	32	33	34	35	36	37		38	39		40	41		42	
43	44	45	46	47	48	49	50		51	52	53	54	55	56	57	58	59
60	61		62	63	64	65	66	67	68		69	70		71	72	73	74
		75	76		77	78	79	80	81	82	83	84	85		86	87	88
89	90	91	92	93	94	95		96	97	98	99	100	101		102		103
104	105	106	107	108		109	110	111	112	113		114		115	116	117	
118	119	120	121	122	123		124	125	126	127	128	129	130	131	132	133	
134	135	136	137	138	139	140	141		142		143	144	145	146	147	148	149
150	151		152	153	154	155	156	157	158	159	160		161	162	163	164	165
166		167	168	169	170		171	172	173	174	175	176	177		178		179
180	181	182	183	184	185	186	187	188	189		190	191	192	193	194		

pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bon książkowy wartości 500 zł.  
**ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 16 SZYFROGRAMU LITERACKIEGO**  
 Rajskie ptaki wrzeszczą w gąszczach Malpy ciskają w siebie wyłowionymi z morza pomarańczami. Hipopotamy pławia się w ciepłej, szerokiej rzece. Na brzegu wyschłym od słońca i spiekoty bielą kości osłicy. Zoo.  
 Andrzej Kuśniewicz  
 W drodze do Koryntu  
 Nagrodę wylosowała Danuta Tomaszewska, ul. M. Kopernika 6 m. 9, 21-010 Świdnik.